ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 1(14) • Styczeń 2007 • Cena 2,00 zł

Stara miłość nie rdzewieje

Robert Pawłowski: *Długo składałeś na pierwszego Harleya?*

Wiesiek Podgórski: Jak zaczynaliśmy z Piotrkiem Świerkiem, a później z moim szwagrem Zbyszkiem Świerkiem, to były przede wszystkim chęci - nie kasa. Kasa oczywiście w jakimś stopniu też. Pierwszego Harleya kupiłem w 81 roku. Wtedy - już nie pamiętam - jakie to były kwoty, ale dałem za niego jakieś 50 tys. złotych, czyli jakichś 5 średnich płac z tamtego czasu, więc to było dużo pieniędzy. Ale z drugiej strony bardziej liczyła się determinacja i rodząca się pasja.

RP: *To był twój pierwszy motor?*

WP: Najpierw miałem stare BMW 35. Sprzedałem je jakoś tak korzystnie, że prawie starczyło na Harleya. To nie był cały Harley, ale złom metalu, jakbyś wysypał kupę śmieci…

RP: *To skąd pomysł, by inwestować w coś takiego?*

WP: Mój ojciec jeździł takim starym niemieckim motorem: **Zündapp Sahara**. Była to bardzo ciekawa maszyna, zrobiona przez Niemców w czasie II wojny światowej, uważana za jeden z doskonalszych motocykli. Przedtem miał SHLkę, Junaka i ten Zündapp był takim zwrotem ku tradycyjnej konstrukcji. I nie ma co ukrywać, że zaraził nas tym zamiłowaniem do takich motorów.

Już w szkole podstawowej bawiliśmy się motorami. Trochę później budowałem crosówki: składałem z różnych części i jeździłem. Ale gdy w 81 roku zobaczyłem po raz pierwszy na żywo Harleya, którego składali Piotrek i Zbyszek, to mnie dopiero tak naprawdę ruszyło. Zobaczyłem doskonałą konstrukcję…, piękną… Powiedziałem sobie wtedy: muszę to mieć. Tak, to od nich się zaczęło i wiedziałem już, że będzie to miłość do grobowej deski.

RP: *Były przecież szybsze, nowocześniejsze, takie, przy których nic nie trzeba było robić…*

WP: To nie chodziło o pociąg do prędkości, tylko o to, że przy tym motorze można było majsterkować, a ja to uwielbiałem. Mogłeś go rozebrać na kawałki i złożyć z powrotem. Mogłeś z niego zrobić motocykl wyścigowy, motocykl turystyczny, on był taki jak plastelina, wiesz, miał idealny kształt do przeróbek. To był pierwowzór wszystkich motocykli turystycznych - cruiseryów.

RP: *Gdzie go kupiłeś?*

WP: Od kolegi z Legnicy, który od dawna pasjonował się Harleyami i on był dla nas głównym źródłem zaopatrzenia w części.

RP: *A skąd wtedy brało się takie Harleye?*

WP: To był jeszcze taki czas, gdy można było próbować szukać Harleyów u ludzi - gdzieś tam na wsi, w jakiejś stodole, dosłownie zakopanych w sianie. W grę wchodziły tylko modele z czasów wojny. Wtedy wszyscy jeździli tylko na takich. Nie było innych. Kupić nowego Harleya to było marzenie ściętej głowy.

Mój obecny Harley jest z roku 1977 wtedy - to było niedoścignione marzenie. Ten, który wtedy kupiłem, był z 1942 roku. I gdybyś bliżej przyjrzał się tamtemu trzydzieści lat starszemu, to doszukałbyś się bardzo wielu podobieństw. Zbiorniki niemalże identyczne, liczniki podobne, układ silnika taki sam, w jednym i drugim skrzynia biegów osobna. To była jedyna firma, która zachowała tradycyjną bryłę motocykla. Dlatego Harley ma tak dużo miłośników. Ważna jest tradycja.

RP: *Pomiędzy tymi dwoma były jeszcze jakieś inne Harleye?*

WP: Cały czas coś się przewijało. Kiedyś próbowałem zrobić model wojenny, żeby wrócić do oryginału. Często coś przerabiałem. Pierwszy mój Harley zrobiony był na takiego Chopera z długim przodem, drugi też, potem ten przód był coraz krótszy i takim jeździłem prawie 10 lat. Później przerabiałem już tylko detale, jakieś lakiery, drobne poprawki…

Robiliśmy kiedyś mnóstwo kilometrów tymi motorami. Wtedy, w latach 80 nie było tyle samochodów, zwłaszcza szybkich. Harleyem, który ma 750 cm pojemności w zasadzie byłeś jednym z szybszych użytkowników drogi.

RP: *Jak wtedy ludzie odbierali takiego Harleya?*

WP: Gdzie postawiłem motor, to miałem problem, żeby się do niego dostać. Pamiętam był film w Złotoryi -„Straceńcy", jego bohaterowie jeździli na Harleyach, to był chyba 85 rok, nie mogliśmy się do motoru dostać, takie tłumy były koło niego. Ale tak było wszędzie, jak pojechałem na wakacje, postawiłem gdzieś motor, to z daleka widziałem, że tam na pewno stoi, bo zaraz zbierał się tłum ludzi.

RP: *Nikt nie chciał ci go podprowadzić przy okazji?*

WP: To nie były takie czasy. Nas, Harleyowców, wówczas w Polsce było niewielu. Sprzedać taki motor byłoby bardzo ciężko. Ze względu na cenę na pewno niejednego korciło, żeby kupić jednak kradziony, ale tego starucha to nie kradli. Musiałby być w 100% oryginalny. Był taki przypadek w Legnicy, że koledze ukradli, ale był zrobiony naprawdę na oryginała i wersję cywilną, to był bardzo wartościowy motocykl. Mój był daleki od super oryginała.

RP: *Harley to styl życia?.*

WP: Tak. Większość przyjaciół w zasadzie od lat związanych jest z motocyklami.

RP: *Zloty?*

WP: Zloty odbywają się prawie co tydzień. Oczywiście nie mam czasu, żeby jeździć na wszystkie. Dużo miast organizuje takie imprezy motocyklowe.

RP: *Ty jeździsz na zloty typowo harleyowe.*

WP: Tak, te zloty typowo harleyowe w roku są tylko dwa, trzy. Nie ma tego dużo. I nie ma na nich jakiś strasznych tłumów.. Na zloty europejskie za to przyjeżdża bardzo dużo Harleyów, nawet kilkanaście tysięcy. W Polsce trudno zgromadzić większą ilość Harleyów w jednym miejscu. U nas jak przyjedzie na dobrą imprezę koło tysiąca, to już jest dużo. Karpacz tyle ściągał. Ale w porównaniu np. z Austrią, gdzie przyjeżdża 15 tysięcy…

RP: *Tam to dopiero musi huczeć…*

WP: Tam to już jest taka jazda, że głowa boli.

RP: *Byłeś na takim zlocie?*

WP: Nie, nie lubię tłumów. Wolę polskie zloty. Kiedyś były robione zloty w Wenecji koło Żnina. Jeżdżę tam z dużym sentymentem, bo udawaliśmy się tam zawsze z całą rodziną. Żona jechała z córką samochodem, a ja na motorze. Masa ludzi tam przyjeżdżała tak jak my - rodzinnie. Było bezpiecznie, fajne tereny, jezioro…

RP: *W tej chwili jak często jeździsz na zloty?*

WP: Rzadziej. Zdecydowanie rzadziej. Praca… Ale jeździmy dosyć często. W zasadzie teraz wybieram zloty. Nie jeżdżę jak kiedyś od zlotu do zlotu.

Kiedyś zlot robił wrażenie takiego azylu wolności. Tu dookoła nic nie było. Masa zakazów za komuny. A tam pełny luz. Piwo. Wszyscy z tą samą pasją. Muzyka, zawsze były koncerty znanych zespołów…

RP: *Jak jedziesz w Polskę, to gdzie zabierasz wszystkie rzeczy?*

WP: Po bokach, na wysokości tylnego koła, przytroczone są skórzane torby. Z tyłu jest jeszcze taki dodatkowy bagażnik. Wszystko się mieści. Namiot też. W tym roku całe Pomorze zjechaliśmy z żoną. Początkowo chcieliśmy jechać do Chorwacji, ale teraz nasze Pomorze jest tak piękne, tyle się tu dzieje, że zabawa jest niesamowita.

RP: *Harleyowcy to taka subkultura. Macie jakiś antagonistów?*

WP: To jest grupa ludzi, których interesuje tylko i wyłącznie motocykl, a nie jakieś tam rozróby. Generalnie ludzie odnoszą się pozytywnie. Czasem tylko ci, którzy nie mają Harleyów, uważają nas niekiedy za snobów. Ale naturalnych wrogów Harleyowcy nie mają. Harleyowcy żyją przede wszystkim miłością do Harleya.

RP: *Jest w tym coś z kultury hipisowskiej?*

WP: To chyba bardziej było w latach 60-tych. Jak powstawały pierwsze kluby. W Polsce pierwszy klub powstał w latach siedemdziesiątych. Na Harleyach jeździli hipisi w filmie „Easy Rider", stąd może przypisywanie Harleyowcom etykietki hipisa. W rzeczywistości jest to przyjaźń do motocykla i do określonego towarzystwa. Harleyowcy zawsze mają tematy do rozmowy. Każdy przerabiał swój motor na różne sposoby. Mało jest motocykli, które można tak przerabiać. Na każdym zlocie ludzie opowiadają, co w danym roku zrobili, co przerobili, co wymienili, co kupili. Na początku było to w ogóle niesformalizowane w jakieś kluby, była po prostu grupa ludzi, która miała wspólne zainteresowania.

RP: *Podróże zagraniczne?*

WP: Niewiele. Czechy raz na zlocie. Niemcy kilka razy. Ale to już w latach 90, już tym nowym Harleyem. Wcześniej też miałem fajnego Harleya - Fartboya. Ale miałem go krótko. Zaraz go ukradli.

RP: *A jednak ukradli…*

WP: Ukradli. To był rocznik 1994 czyli całkiem młody motor. Potem przez pewien czas byłem bez motoru, no i kupiłem tego. Był trochę tańszy.

RP: *W jakich okolicznościach go straciłeś?*

WP: Zostawiłem na noc w sklepie. Myślałem, że będzie bezpieczny. Był alarm…

RP: *Zobaczyłeś puste miejsce i…*

WP: Na początku myślałem, że coś jest nie tak, że on gdzieś tutaj stoi. Przyjechałem w nocy, ponieważ alarm się włączył. Zaświeciłem światłami, drzwi były zamknięte. Ale nic się nie błyszczało, żaden chrom. Zawsze jak po ciemku podjeżdżałem, to w szybie odbijał się chrom. Obawiałem się najgorszego. Popchnąłem drzwi, drzwi się otworzyły… Kurcze, uczucie niesamowite, takie wiesz… Sam wiesz, jak czymś się pasjonujesz, zbierasz coś, a tu nagle kradną ci to. Sprzedałem starego Harleya, którym jeździłem 20 lat, pomyślałem sobie, że czas zmienić na nowszy model. Trochę pieniędzy odłożyłem i to miał być taki docelowy Harley. To był ten wymarzony model, który chciałem mieć… Krótko go miałem, nie zdążyłem się nacieszyć. Pomalowałem go trochę, odrestaurowałem, w sumie stał tutaj dwa tygodnie.

RP: *Ktoś musiał cię obserwować…*

WP: Taaak. Wtedy, w tym dniu jeździłem po okolicy. Postawiłem motocykl o 10, o drugiej w nocy już zniknął. Cztery minuty po włączeniu się alarmu byłem na miejscu, ale już nie było czego szukać…

RP: *Przykre*

WP: Przykre, przykre…

RP: *Kto jeszcze w okolicy ma Harleya?*

WP: Mój szwagier, Zbyszek Świerk. Poza tym chyba już nikt. Najbliżej jest Legnica, Jawor, Jelenia Góra. Tak się teraz zastanawiam, że od Legnicy do Jeleniej Góry nikt tak długo nie miał Harleya. Prawie bez przerwy. Byli ludzi, którzy mieli wcześniej. Byli ludzie, którzy tylko przez pewien czas mieli. Ja chyba najdłużej tutaj jeżdżę Harleyem od 81 roku.

Wtedy po tej kradzieży przez rok nie miałem Harleya. Później kupiłem sobie takie zwłoki, jeszcze raz starą WLA. Jeździłem nią rok, po czym sprzedałem i wziąłem się jakoś w garść, kurcze, trzeba iść za ciosem, wprawdzie strata była duża, ale trzeba do przodu i kupiłem tego Harleya, którego mam do dziś.

RP: *Na co dzień dużo jeździsz?*

WP: Latem, jak jest tylko pogoda, to codziennie. Często gdzieś się tam skrzykniemy o którejś godzinie i razem wyjeżdżamy nad wodę: ludzie z Legnicy, z Jawora.

RP: *Marzysz o jakimś szczególnym modelu Harleya?*

WP: Tak. Chciałbym kiedyś mieć takiego starucha, z trzydziestego siódmego roku. To jest model UL 1340 z dolnozaworowym silnikiem.

RP: *Nic mi to nie mówi.*

WP: Wszystkie części kosztują tyle samo co do nowego Harleya. Ale przede wszystkim ciężko jest je znaleźć, no i zbudowanie wymaga bardzo dużo pracy. Podejrzewam, że to się skończy tylko na marzeniu. Nie mam czasu na to, żeby zbudować coś takiego teraz. Pierwsze Harleye budowałem od podstaw i zajmowało mi to dwa lata. Później już tylko rok. Była już jakaś baza, można było przerabiać. Teraz, żeby takiego złożyć, też trzeba by rok dobrej pracy. Dużo czasu.

RP: *Obecnego Harleya często rozbierasz na części?*

WP: Nie, ale w tym roku rozbiorę go na pewno. Już trochę za długo jeżdżę, czas coś zmienić. Zmienię parę rzeczy. Koła na pewno. Może przód dam od starszego modelu. Lubię takie rzeczy tradycyjne przy Harleyu. Do tej pory sporo już części wymieniłem… Ta konsola z licznikiem jest z 40 roku. Znaczki są od Harleya - model cywilny.

RP: *No właśnie, czym się różni model cywilny od wojskowego?*

WP: Cywilny był z głębokimi błotnikami i kolorowo pomalowany, miał dużo chromu, a model wojenny był cały na zielono, i inne błotniki. Natomiast konstrukcja była ta sam: rama ta sama, przody te same, lampy itd., tylko że tu był lakier z chromem a tam farba.

RP: *Ale taki Harley chyba średnio spisuje się w terenie*

WP: Trzeba nie lada szkoły, żeby poruszać się tym w terenie, ale byli tacy, co uważali, że tym się doskonale jeździ po bezdrożach.

RP: *Trochę nisko nad ziemią to wszystko…*

WP: I pozycja też jest niezbyt dobra do jazdy w terenie.

RP: *Można chyba przypadkiem polecieć na plecy…*

WP: No nie. Nie. On ma bardzo nisko środek ciężkości. Tym się dobrze jeździ. Jest dobrze wyważony. Nie jest wywrotny. W terenie może rzeczywiście nie jest idealny, ze względu na to niskie zawieszenie, ale jako szosowy motocykl jest wspaniały.

RP: *Miałeś kiedyś jakiś wypadek na Harleyu?*

WP: Niewielki. Raz wracałem z jakiegoś zlotu, padał deszcz. Byłem zmęczony. Słupy przy drodze leciały prosto, ja sugerowałem się trochę tymi słupami i zanim się zorientowałem, wypadłem z drogi i wylądowałem w rowie. Ale niegroźne to było. Trochę otarłem motor, mnie natomiast nic się nie stało. Na szczęście w porę się zorientowałem, że coś jest nie tak i wywróciłem motor. Później jakiś kierowca pomógł mi wyciągnąć motor z rowu i pojechałem dalej. Tak to się skończyło.

RP: Rozbierasz ten motor, składasz, ale co jest sercem, którego nie można ruszyć albo od którego zaczyna się montaż całości?

WP: Silnik. I skrzynia biegów. To jest to, co musi być na początku. W zasadzie, co Harleya charakteryzuje? Raz, że sylwetka, gdzie silnik jest najważniejszą częścią, no i dodatki. Piękna konsola na zbiorniku…, dużo szczegółów, można o tym długo opowiadać. Przy wszystkich nowych modelach Harleya wraca się do tego, co było kiedyś, bazuje się na starych wzorach. Przy najnowszych modelach Harleya zakłada się przody, które były montowane w 40. roku. Oczywiście trochę udoskonalone, ale wzór jest ten sam.

RP: Twój Harley na co dzień tak lśni jak na tych zdjęciach?

WP: Czyściliśmy go do zdjęcia. W zasadzie nie jeździ się po błocie.

RP: A córka sama jeździ.

WP: Nie, córa jest za młoda. Raz próbowałem ją posadzić, poradziła sobie, musiałem siedzieć z tyłu trzymać kierownicę, potem puściłem delikatnie… Poradziła sobie. Pojechała, po prostej drodze, bo po prostej, ale pojechała. A żona to jeździ. Więcej jeździła tym moim starym Harleyem.

RP: Trzeba będzie drugiego kupić? Dla żony?

WP: Czemu nie. Żona myśli o tym, żeby jeździć swoim własnym Harleyem.

RP: *Też jest taką pasjonatką?*

WP: Tak. Zawsze jeździmy na zloty razem. Mamy wspólnych znajomych, to akurat jest u nas zbieżne. Pomimo że to bardzo ciężki motocykl (waży około 300 kg), bardzo łatwo się go prowadzi. Harley ma to do siebie, że... Podejrzewam, że i ty byś bez problemu pojechał. Wszystko jest tak idealnie zrobione pod człowieka, że nie musisz się męczyć. Nogi są w odpowiedniej pozycji, ręce też, tułów. **Wszystko idealnie - jak w Harleyu.**

Robert Pawłowski

Dziękuję Marcie Małagowskiej za wstępne przygotowanie materiału.

ECHO ZŁOTORYI **Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej**
Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus"), tel.: 076 8788137,
Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli:Agata Arian, Józef Banaszek, Aleksander Borys, Anna Chrzanowska, Ewa Derbisz, Renata Fuchs, Roman Gorzkowski, Monika Kozubska, Alfred Michler, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski, Aniela Pietruszczak, Konrad Stach,

LUDZIE ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ

„Sobieradzik” sobie radzi

Dom Dziecka „Sobieradzik” w Wojcieszowie miłą i domową atmosferą wita każdego gościa. Pięknie odrestaurowany, osiemnastowieczny dworek z otaczającym go parkiem sprawia, że czujemy, jakbyśmy znaleźli się w innym świecie. Choć drzwi do budynku są wciąż otwarte, od progu ogarnia nas poczucie bezpieczeństwa, które zapewne towarzyszy każdemu z wychowanków. I nie mylimy się- właśnie tu, w tym domu, dzieci i młodzież odnalazły schronienie przed dramatem i szarością ich dawnego życia.

-Tu jest naprawdę fajnie. Na pewno wolę tutaj mieszkać niż być w domu - mówi piętnastoletnia Marzena. Wcale jej się nie dziwimy, bo Dom Dziecka „Sobieradzik” zaraża wręcz rodzinną atmosferą. Bawialnia rozbrzmiewa śmiechem dzieci i głośnymi rozmowami starszych wychowanków. Szereg zawiłych korytarzy prowadzi do gabinetu dyrektora placówki, pana Mariana Zwolenika. Przywitał nas uśmiechem i silnym uściskiem dłoni, a nasze wcześniejsze obawy co, do tego, że rozmowa będzie trudna, od razu prysły, bowiem pan Marian jest człowiekiem sympatycznym i chętnie opowiedział nam o historii placówki i życiu wychowanków. Ich prywatne tragedie bardzo nami wstrząsnęły. Trudno stłumić emocje, kiedy słyszy się o maltretowanych dziesięciomiesięcznych niemowlakach lub kilkunastolatkach spędzających noce na schodach, bo w domu trwa libacja alkoholowa.

- Czasami dzieci same zgłaszają się do naszego ośrodka, choć jest to już ostateczność - mówi pan Zwolenik. Kilka dni przed naszym przyjazdem dwie dziewczynki z pobliskiej wsi przyszły z własnej woli do „Sobieradzika”. Nie widziały dla siebie żadnej innej perspektywy życia w patologicznej rodzinie. Dom dziecka był dla nich mniejszym złem.

Jednak Dom Dziecka w Wojcieszowie nie sprawia wrażenia „zła koniecznego”, to nadzieja na lepsze życie. Ciepło, jakie dzieci otrzymują od dyrektora i wychowawców daje namiastkę prawdziwego domu. Każdy jest tu u siebie. Młodzież pomaga maluchom, zaś największe wrażenie wywarła na nas Justyna, którą współmieszkańcy żartobliwie nazywają „kurą domową”.

- Justynka opiekuje się maluszkami, a na dodatek piecze doskonałe ciasta - zapewniają współmieszkańcy, wyraźnie dumni z piętnastolatki. - Często przychodzą do nas koleżanki ze środowiska (tak w „Sobieradziku” nazywa się miasto), a wtedy zawsze można liczyć, że Justyna upiecze coś słodkiego. Sama planuje naukę w technikum handlowym. Nie tylko ona stoi przed wyborem szkoły. Szesnastoletni Łukasz zastanawia się nad dalszą edukacją w ogólniaku (obecnie średnia w trzeciej klasie gimnazjum 5,0), a Marzena myśli o Liceum Wojskowym w Złotoryi. Za wzór służą im starsi wychowankowie „Sobieradzika”. Siedmioro z nich studiuje na różnych uczelniach (w Legnicy, Jeleniej Górze, Wałbrzychu i Opolu). Często odrabiają staż w placówce. Mówią wtedy, że czują się tak, jakby wrócili do domu.

Tradycją Domu Dziecka w Wojcieszowie jest uroczysta wspólna wieczerza wigilijna. Z okolicy zjeżdżają się wtedy byli mieszkańcy „bidula” (choć to słowo wydaje się nie na miejscu), by w życzliwym gronie spędzić najpiękniejszy wieczór roku. Jak w każdym domu, dzieci niecierpliwie wyczekują momentu, kiedy będą mogły odpakować wspaniałe prezenty.

- Kiedyś nasze wigilie spędzaliśmy w smutnym nastroju - podkreśla dyrektor. Ale uznaliśmy, że Święta powinny być szczęśliwe. Miło jest widzieć uśmiechnięte twarze dzieci. Dzięki współpracy z niemiecką młodzieżą nasi wychowankowie mogą cieszyć się z naprawdę pięknych prezentów. Ile uciechy mają, gdy w wypełnionych po brzegi orzeszkami ziemnymi czy cukierkami pudłach doszukują się wymarzonych podarunków.

Jak to zwykle w życiu bywa, w Domu Dziecka w Wojcieszowie nie zawsze jest tak kolorowo. Dzieci, przybywające tu wprost z patologicznych rodzin, mają duże trudności w zaadaptowaniu się do nowych warunków. Często sprawiają kłopoty wychowawcze i kilka razy interweniowała policja.

-Dla wielu dzieci patologia jest czymś normalnym. Nie wiedzą, że to, co robi mama czy tato, jest dla nich złe - opowiada pan Marian - Sami często naśladują to, co widzieli w domu.

Rzadko adaptacja nowego mieszkańca przebiega w szybkim tempie. Niekiedy dzieci są wystraszone nową sytuacją i przez jakiś czas nie mogą przyzwyczaić się do otoczenia, są w sobie zamknięte i boją się.

ludzi. Wtedy do takiego dziecka trzeba „dotrzeć”, często pomagają w tym zaprzyjaźnione rodziny, które przyjeżdżają w odwiedziny lub zabierają wychowanków palcówki do siebie na ferie czy weekendy. Po jakimś czasie, nowy mieszkaniec placówki przyzwyczaja się do warunków, a „rodzinka” powiększa się o jeszcze jednego członka.

Jednak bez starań i troski dyrektora, który jest jednocześnie zarządcą i autorytetem, życie w „Sobieradziku” nie byłoby takie radosne. Jego pomoc nie kończy się tylko w obrębie placówki. Niesie ją także swoim byłym wychowankom, jak i dzieciom ze środowiska. Służy jako wzór wszystkim w okolicy. Potrafi załatwić dosłownie wszystko,

byleby jego podopieczni dostali to, co jest im potrzebne. Mieszkańcy Domu Dziecka w Wojcieszowie są mu bardzo oddani, mimo że czasem potrafi przywołać ich do porządku. Powtarzają, że to najlepszy dyrektor, jaki mógł im się przytrafić.

- To nie tylko moja zasługa, ale również oddanych pracowników - dodaje skromnie.

Placówka zawdzięcza swój sukces „systemowi rodzinkowemu”, którego inicjatorem w latach 70. był właśnie pan Marian Zwolenik. Polega on na utworzeniu około 15-osobowych grup dzieci, które pod opieką wychowawcy dzielą się obowiązkami, wspólnie pracują i spędzają wolny czas. Rodzeństwa, które przybywają do „Sobieradzika” nie są rozdzielane, w „rodzinkach” często możemy spotkać osoby połączone więzami krwi. Właśnie ten fakt sprawia, że w każdej grupie panuje typowo domowa atmosfera.

Przywiązanie dyrektora do wychowanków daje się wyczuć w sposobie, jakim o nich opowiada. Z autentyczną dumą mówi o sukcesach mieszkańców domu. A tych jest sporo. Dzieci osiągają świetne wyniki w szkole. Konrad bez problemu dostał się do liceum, o jakim marzył, a pasją nastolatka jest historia oraz piłka nożna.

Trener zobaczył, jak Konrad bawi się piłką i zaproponował mu miejsce w szkolnej reprezentacji - chwali go siostra, wyraźnie dumna z sukcesów brata. I miał średnią 5,15!

Marzena bierze udział w licznych zawodach sportowych, jej ulubioną dyscypliną jest siatkówka. Wszyscy sobie pomagają w nauce i nie ma między nimi większych nieporozumień. Sprawiedliwie dzielą swoje obowiązki, a nawet sami są ochotnikami w wykonywaniu prac domowych. Dbają o porządek, a samodzielne

przyrządzanie kolacji sprawia im wiele frajdy. Dzięki aneksom kuchennym, znajdującym się w każdej „rodzince”, bez problemu uczą się gospodarowania. W dworku mieści się także przepiękna sala kominkowa, a hol zdobią własnoręcznie wykonane dekoracje oraz pamiątkowe fotografie podopiecznych. „Sobieradzik” dysponuje też mieszkaniem rotacyjnym. Z lokalu korzystają wychowankowie, którzy

kontynuują nauki, oczekując na rozwiązanie własnego problemu mieszkaniowego. Powstało tu także mieszkanie autonomiczne dla młodzieży, która przejawia chęć i potrzebę samodzielnego życia. Przeznaczone jest ono dla 8 osób.

Podopieczni pana Mariana Zwolenika chętnie oprowadzają nas po całym dworku.

-Jaka szkoda, że jest już tak późno, pokazałybyśmy wam cały park, jest naprawdę wspaniały! -mówią dziewczyny Przy następnej wizycie na pewno jeszcze wszystko zobaczycie- zapewniają, a my czujemy, że jeszcze tu wrócimy. Zachwyciła nas atmosfera pokoju Marzeny i Justyny. Miło jest stwierdzić, że tak jak na ścianie każdej polskiej nastolatki, tak i tu wisi plakat Maćka Zakościelnego i wszędzie pełno typowo dziewczęcych bibelotów. Od razu czujemy się jak u siebie. Gdy tylko wchodzimy do pokoju, zaraz za nami przydreptuje Weronisia, by wygodnie usadowić się na kolanach Justyny i podbijać nasze serca strojeniem słodkich min. Po jej przybyciu, zaglądają do nas i inni mieszkańcy rodzinki. Mimo nieustającej wichury za oknem, nie mamy wcale ochoty wracać. Ale w końcu nadchodzi czas pożegnania. Podopieczni pana Mariana odprowadzają nas pod same drzwi i zapraszają na kolejną, tym razem dłuższą, wizytę.

Dom Dziecka w Wojcieszowie to oaza spokoju dla tych, których dosięgła patologia społeczna. W „Sobieradziku” dzieci mają zapewnione wyżywienie, ubranie, całodobową opiekę i pomoc przy wyborze życiowej drogi. Jednak to wszystko nie byłoby nic warte, gdyby nie autentyczne ciepło, jakim darzą się i młodzi, i starsi. Przekraczając próg tej niezwykłej placówki, wiemy, że znaleźliśmy się w magicznym miejscu. Tu nikt nie jest odtrącany, przeciwnie - każdy może siebie odnaleźć. Mieszkańcy „Sobieradzika” to jedna wielka rodzina. Ten stan najlepiej obrazuje odpowiedź nastoletniej Klaudii na pytanie, kiedy planuje opuszczenie placówki wybierze samodzielne życie:

- Najlepiej nigdy- mówi z przekonaniem.

Martyna Borysionek, Aleksandra Falęcka, Marta Kołodziej
Zdjęcia: Iwona Pawłowska

fot.: R. Pawłowski

Budujemy mosty...

Iwona Pawłowska: Powszechnie znana jest dziecięca rymowanka, której fraza brzmi: „Budujemy mosty dla pana starosty". Nie sposób zapomnieć o tym, gdy rozmawia się ze starostą.

Proszę wyjaśnić, kto na przełomie listopada i grudnia zbudował most między Ratuszem a Starostwem?

Ryszard Raszkiewicz: To jest bardzo ciekawe pytanie. W odpowiedzi najprościej można by powiedzieć, że ten most wznieśli mieszkańcy powiatu złotoryjskiego i Złotoryi, którzy w wyborach samorządowych obdarzyli zaufaniem i mnie i pana Żurawskiego.

Nie ukrywam, że takie porozumienie oraz zgoda pomagają w realizacji ambitnych planów i rozwiązywaniu trudnych problemów.

I.P.: Jak silne są filary tego mostu?

R.R.: Jeżeli chcemy służyć społeczeństwu, to porozumienie musi być trwałe.

I.P.: Czy są konkretne przejawy tej zgody?

R.R.: Na razie jesteśmy po wspólnym przedsięwzięciu, jakim była Wigilia w rynku, gdzie uczestniczyłem razem z burmistrzem. Wspólnie śpiewaliśmy kolędy, co jest symbolem tej świątecznej nocy. Innym wspólnym działaniem było zaproszenie p. Roberta Makłowicza, który na miejskim rynku gotował swoje słynne potrawy, a przy okazji przygotowywał się do realizacji programu „Podróże kulinarne".

Mam nadzieję, że mieszkańcy powiatu i miasta zaobserwują jeszcze kolejne przejawy naszej współpracy.

I.P.: Nas, jako redakcję „Echa Złotoryi", niepokoi jednak inny przejaw porozumienia, mam na myśli wspólne wspieranie tylko jednego czasopisma w mieście „Gazety Złotoryjskiej". Skąd pomysł monopolizacji rynku prasy lokalnej?

R.R.: Nie ma takich ustaleń. Nie koncentrujemy się tylko na jednym medium. Obecnie pracujemy nad redagowaniem wkładki „Nasz region" do „Gazety Wrocławskiej". Tu chcemy opisać nasze osiągnięcia w pracy na rzecz osób niepełnosprawnych. Na marginesie dodam, że realizujemy program „Powiat przyjazny niepełnosprawnym", w tym celu pozyskujemy również fundusze unijne, a promocja dokonań ułatwia nam zadanie. Wybraliśmy do tego celu „Gazetę Wrocławską" ze względu na duży, gdyż regionalny, zasięg.

Kiedy rozmawialiśmy o sprawie mediów lokalnych, bo taka rozmowa była na zainicjowanym przeze mnie forum wójtów i burmistrzów, nie wiedzieliśmy jeszcze o istnieniu „Echa Złotoryi" ani o gazecie „Emaus".

I.P.: Jedno z dzieci zapytanych o to: Kim jest pan starosta? odpowiedziało: Pan starosta ma dom, gdzie jest narysowany orzeł i gdzie są pieniążki. Jakimi pieniędzmi dysponuje starostwo w tym roku?

R.R.: Na pewno pieniądze, którymi dysponujemy są za małe jak na nasze potrzeby. Porównując budżet tegoroczny z pierwszym (z 1999 roku), widać zdecydowaną różnicę, niestety na niekorzyść obecnego. Jednak jesteśmy powiatem, który oceniony został na Dolnym Śląsku wysoko pod względem pozyskiwania funduszy unijnych. Dla jasności przytoczę ostatnią informację z „Gazety Wrocławskiej": W porównaniu do powiatu lwóweckiego, gdzie w przeliczeniu na jednego mieszkańca pozyskano 30 złotych 88 groszy, powiat złotoryjski wypada pozytywnie, gdyż pozyskał 514 złotych 64 grosze. To dowodzi, że piszemy dobre wnioski, pozytywnie oceniane, których efektem jest miedzy innymi kompleksowy remont ulicy Krzywoustego. Jest to zadanie o charakterze strategicznym. Jeśli Niemcy (wniosek opiniowany był w Dreźnie) dostrzegą wymierne efekty pomocy unijnej, jest szansa na kolejne pieniądze.

Kilka lat temu, jeszcze w poprzedniej kadencji, złożyliśmy wniosek o dofinansowanie przebudowy drogi Północ - Południe (trasa biegnie przez Zagrodno, Pielgrzymkę, Rząśnik). Obecnie na tej drodze trwają prace, a jest to możliwe, gdyż w 2006 roku otrzymaliśmy 17milionów złotych dofinansowania z Unii. Oczywiście musieliśmy też wykazać się wkładem własnym pozyskanym z kredytu. Bez tego nic się nie da zrobić.

W tym roku planujemy dokończenie przebudowy tej trasy i rozliczenie się z funduszem unijnym.

I.P.: Jakich innych inwestycji poza drogami mogą spodziewać się mieszkańcy naszego powiatu?

R.R.: Najważniejsze są drogi.

I.P.: ***A co z planowaną budową centrum rehabilitacyjnego przy szpitalu w Złotoryi?***

Mieszkańcy czekają na basen.

R.R.: Nie mam wątpliwości, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by centrum powstało. Akurat na bieżąco pracujemy nad tym materiałem. Projekt jest już gotowy, powiat ze swoich środków przeznaczył kwotę 500 tysięcy złotych, mamy teren i pozwolenie na budowę. Możemy zaczynać, ale…brakuje pieniędzy. Drogi miały priorytet.

Obecnie mamy napisany wniosek do funduszu norweskiego. Czekamy na efekty. W lutym razem z radną sejmiku p. Jadwigą Szeląg zapraszam do powiatu marszałka województwa p. Andrzeja Łosia, a jednym z tematów rozmów ma być rozbudowa szpitala o centrum rehabilitacyjne i basen. Nie ukrywam, że ta inwestycja byłaby dużym atutem dla powiatu i ratunkiem dla szpitala. Niektórzy sądzą, że fakt funkcjonowania szpitala w Złotoryi zakrawa na cud. Kiedy zlikwidowano szpital w Chojnowie, a w Jaworze placówka przekształca się w spółkę prywatną, niektórzy liczą dni szpitala w Złotoryi. To, że on jeszcze istnieje, jest zasługą rozważnych i wyrozumiałych pracowników, którzy nie dopuścili do eskalacji swego niezadowolenia i zniecierpliwienia.

W momencie uruchomienia centrum rehabilitacyjnego moglibyśmy liczyć również na wpływ środków z kieszeni zamożnych kuracjuszy przede wszystkim z Niemiec. Warto przecież wykorzystać korzystne położenie blisko granicy. Jednak centrum i basen miałyby służyć przede wszystkim naszym mieszkańcom, a szczególnie dzieciom. Gdyby udało się zakończyć tę inwestycję, byłaby szansa na utworzenie rynku wtórnego, usługowego (hotele, restauracje itp.). Moglibyśmy przy okazji wypromować wodę źródlaną ze Złotoryi.

Ta inwestycja leży mi na sercu. Tylko trochę cierpliwości.

***I.P.:** Ostatnio zaniepokoiła nas informacja o tym, że PiS proponuje zmniejszenie liczby powiatów i 1/3. Jakie ma pan argumenty w walce o zachowanie powiatu złotoryjskiego?*

R.R.: Jednym z argumentów jest nasza aktywność w pozyskiwania funduszy unijnych. Wspomniana wcześniej trasa Północ Południe jest największą inwestycją przeprowadzaną przez samorząd na terenie całego województwa. My postawiliśmy na jedno inwestowanie w siebie. Jeśli zainwestujemy w infrastrukturę techniczną, którą są drogi i zagwarantujemy bezpieczeństwo poruszania się przez nasze malownicze wioski, to nastąpi rozwój tzw. inicjatywy oddolnej. Liczę na samych mieszkańców powiatu, którzy wezmą sprawy we własne ręce. Pierwsze pozyskane z funduszy unijnych pieniądze zainwestowaliśmy w szkolenia rolników w zakresie tworzenia gospodarstw agroturystycznych. Początkowo spotkaliśmy się ze sceptycyzmem rolników, ale dzisiaj istnieje już stowarzyszenie agroturystyczne, a p. Robert Makłowicz i p. Ewa Wachowicz oraz cała ekipa telewizyjna na miejsce swego noclegu nie wybrali hotelu, tylko jedno z gospodarstw na wsi. O czymś to świadczy.

I.P.: *Nie boi się zatem Pan likwidacji* ***powiatu?***

R.R.: Tu nie jestem optymistą. Znając polityków i wiedząc, na co ich stać, patrzę na to z pewnym przestrachem. Jednak likwidacja powiatu byłaby dużą stratą dla mieszkańców. Teraz mają urząd blisko siebie. A to jest ważne.

Patrząc obiektywnie, nasz powiat wypracował wiele przez te lata. Na tym nie chcemy kończyć. Ostatnio podpisaliśmy porozumienie z Euroregionem Nysa w celu odtworzenia, a raczej uruchomienia turystycznej trasy kolejowej ze Złotoryi do Lubawki. Jesteśmy w trakcie tworzenia studium wykonalności, jeśli tylko znalazłyby się pieniądze, mielibyśmy kolejny atut.

***I.P.:** Patrząc na niszczejące tory i rozbierane wiadukty, mam wrażenie, że będzie to trudne zadanie.*

R.R.: Nie boimy się trudnych zadań

I.P.: Przed wyborami na ulotkach i plakatach towarzyszyły Panu wnuki. Proszę przekonać naszych czytelników, że pozowanie do zdjęć z rodziną nie było tylko zabiegiem socjotechnicznym. Jest Pan człowiekiem rodzinnym?

R.R.: Dowodem na to może być dom, który buduję nie tylko dla siebie, ale też dzieci i wnuków. Proszę spojrzeć na zdjęcia wiszące w moim gabinecie. Na wielu z nich są moje wnuki. Rodzina jest stale obecna w moim życiu. Szczególnie maluchy. To jest moja inwestycja. Powinno się stawiać na młodych. Poza tym zwykle mówię, że dziadkowie są od rozpieszczania, a rodzice od wychowy-wania.

Wnuki zawładnęły nie tylko moim sercem, również pokochał je mój pies, przy którym dzieci wychowywały się. Kiedy się tylko pojawiają, pies zapomina o swoim właścicielu.

I.P.: Jawi się Pan jako osoba stała w uczuciach. U Pana boku wciąż ta sama żona…Jaką ma Pan receptę na udany związek?

fot.: Ryszard Masłowski

R.R.: Tak, jesteśmy z żoną już 34 lata. A recepta: wyrozumiałość. Trzeba dużo wyrozumiałości.

***I.P.**: Ze strony żony czy Pana?*

R.R.: Żona ma większą wyrozumiałość. W trudnych sytuacjach potrafimy zawsze znaleźć złoty środek i nie angażować w swoje sprawy dzieci. Chociaż bywa też, że jako rodzice reagujemy na ich problemy i dużo rozmawiamy.

***I.P.:** Znany jest Pan jako zapalony myśliwy. Skąd to zainteresowanie, jak niektórzy twierdzą, krwawym sportem?*

R.R.: Nie jest to zainteresowanie krwawym sportem, ale zamiłowanie do tego, co nas otacza, do tego skąd się wszyscy wywodzimy. Przyroda jest piękna i przebogata. W Biblii napisane jest, aby człowiek czynił sobie ziemię poddaną. Oczywiście należy robić to w sposób przemyślany. Wychowałem się blisko lasu. Poznając las, uczyłem się z niego korzystać. Zbierałem jagody, maliny. Kiedy jest okres grzybobrania, a ja nie jadę do lasu, to jestem niespełniony, czegoś mi brak.

Myślistwo nie wiąże się tylko ze strzelaniem. To też uprawa, hodowla, gospodarka leśna, nakładające na myśliwego szereg obowiązków. Owszem, są tacy, którzy chcieliby tylko strzelać, ale jest to postawa nieetyczna. Z takimi ludźmi nie utrzymuję kontaktu. W gwarze myśliwskiej określamy ich „mięsiarzami". Myśliwego powinna cechować duża subtelność i rozwaga. Trzeba wiedzieć, kiedy i na co w danym momencie polować, a kiedy przeprowadzać introdukcję (odtwarzanie zasobów).

***I.P.**: Czy tak liczna obecność pluszowych zwierząt w Pańskim gabinecie wiąże się z zamiłowaniem do zwierzyny?*

R. R. Nie tylko. Tu, gdzie teraz urzęduję, kiedyś był gabinet stomatologiczny. Na początku to miejsce wszystkim źle się kojarzyło. Pluszaki są pomysłem na odczarowanie złej aury.

***I.P.:** Za co Pan chwyta swoją żonę, idąc na polowanie?*

R.R.: Jest takie myśliwskie przysłowie: Im grubszy zwierz, tym wyżej mierz.

Wszystko zależy od śmiałości myśliwego.

Najczęściej łapie się za kolanko, to przynosi szczęście.

***I.P.:** Proszę dokończyć zdanie: Gdybym nie był starostą, to…*

R.R.: Czułbym się niespełniony. Lubię służyć ludziom, lubię pomagać i chciałbym, żeby mnie wszyscy dobrze zapamiętali.

I.P.: Na jakie pytania nie odpowiedziałby Pan publicznie?

R.R.: Nie wiem, czy są takie pytania, ale jeśli zbyt mocno ingerowałyby w moją rodzinę, pewnie nie odpowiedziałbym na nie. Jednak żyjemy w czasach, kiedy w zasadzie wszystko jest jawne. Jeśli chodzi o sprawy zawodowe, nie mam nic do ukrycia.

Dziękuję za rozmowę.

Iwona Pawłowska

Starosta w oczach dzieci

Marcela: Pan starosta to strach. Kto ma stracha, to przegrywa.
Wiktoria: Człowiek, który jak chce zjeść jabłko, to ścina drzewo.
Michał: Je kanapki.
Monika: Pan starosta buduje mosty.
Gracjan: Może zbudować piramidę
Ania: Może pracować w banku.
Gabrysia: Może budować dachy. Pan starosta ma dom.
Zuzia: Pan starosta to ktoś stary. Z kimś rozmawia.
Gracjan: Może czytać czyjeś listy, może być zły, bo u mnie w bajce taki jest. Może być dobry i zły. Może stukać o stół i pracować w banku.
Ania: Pan starosta ma dom tam, gdzie jest orzeł narysowany i tam, gdzie są pieniążki.
Wiktoria: Może wieszać firanki.
Róża: Pan, który pomaga.
Gabrysia: Może malować obrazy w urzędzie skarbowym.
Weronika: Może pracować dla kogoś.
Piotrek: To górnik w kopalni złota. Ma czarne ubranie i naprawia zegarki.

Z pięciolatkami rozmawiały: Paula Wełyczko i Martyna Borysionek

Mieszkańcy Złotoryi o Staroście

Przeprowadzając krótką rozmowę z przypadkowo wybranymi mieszkańcami Złotoryi i powiatu złotoryjskiego, pytałem kim według nich jest starosta i jaki jest zakres jego kompetencji. Pytanie pozornie banalne, przysporzyło ankietowanym nie lada trudność. Choć większość osób odpowiadała, że nie potrafi sprecyzować odpowiedzi, to znalazłem śmiałków, którzy spróbowali podjąć wyzwanie. Wśród nich starszą panią, która twierdziła, że starosta to wójt Złotoryi, dwójka nastolatków wskazała jedynie, że jest to „ ten z tego budynku" wskazując na Starostwo Powiatowe. Młode małżeństwo uważa, że jest to prezydent miasta lub "coś w tym rodzaju". Najciekawszą odpowiedź uzyskałem od kilkuletniego chłopca, który, nie pozwalając dojść mamie do głosu, twierdził, że „starosta to ktoś bardzo stary". Kiedy spytałem go, czy może wie, jak ma na imię starosta, w odpowiedzi usłyszałem „starosta". Większość ankietowanych nie ma pojęcia o kompetencjach i zajęciach włodarza powiatu. Na szczęście znalazłem grupę osób orientujących się w strukturach władzy. Byli to przeważnie ludzie w średnim wieku.

Wyniki sondy nasuwają refleksje, że jako obywatele mamy zbyt małą wiedzę o znajomości struktur samorządowych. Jest to skutek naszej obojętności wobec otaczającego świata, niskiej świadomości i to nie nastraja optymistycznie.

Konrad Stach

Wiara gwiazdą przewodnią

Siedemnastowieczna Złotoryja miała szczęście do kilku wybitnych włodarzy. Przybliżmy sylwetkę Johannesa Feige, burmistrza miasta w latach 1599-1600, 1602 oraz 1604-1616. Urodził się w 1554 r., studiował prawo w Lipsku i Wittenberdze, w wieku 39 lat został rektorem złotoryjskiego gimnazjum i z powodzeniem starał się ożywić jego pracę. Jako burmistrzowi zawdzięczało mu miasto budowę młynówki (wzdłuż której od Jerzmanic aż do ul. Chojnowskiej powstało wkrótce wiele młynów wodnych), uruchomienie miejskich wodociągów, a także wzniesienie renesansowego ratusza. W tych czasach swą pierwszą strzelnicę otworzyło Bractwo Strzeleckie. O prężnym rozwoju miasta świadczyło również dwukrotne powiększenie się jego zabudowy podmiejskiej. Dane było Feigemu przeżyć największą w historii powódź w 1608 r.(123 ofiary) oraz pożar i epidemię dżumy w 1613 r.(2348 ofiar). Zakończył swą kadencję w atmosferze podejrzeń o korupcję. W 1515 r. grupa mieszczan zarzuciła mu przywłaszczanie miejskich podatków i opłat celnych, wykorzystywanie miejskich koni do celów prywatnych, a nawet przekazywanie swym synom stypendiów przeznaczonych dla biednych dzieci. Specjalnie powołana komisja książęca potwierdziła niestety niektóre z zarzutów. Zmarł w 1617 r.

Pozostały po nim znaczące zabytki. Pod wpływem przeżyć, związanych ze wspomnianą powodzią, ufundował w 1609 r. w kościele Mariackim najładniejszą z empor, zwaną Mieszczańską, z dziewięcioma barwnymi biblijnymi scenami. Widnieje na niej maksyma życiowa fundatora: *Prawdziwa wiara, miłość, cierpliwość, nadzieja, umysł świadomy swojej prawości, uczciwość, pokój są moją gwiazdą przewodnią.* W Rynku stoi Fontanna Delfina z 1604 r., również jego fundacji. Łacińska inskrypcja na fontannie *SE FIGENS IN IOVA*(Opierający się na Bogu) jest anagramem łacińskiej wersji nazwiska i imienia burmistrza(IOANNES FEIGIVS).

(gar)

POCZET WŁODARZY ZŁOTORYJSKICH

Bitwa o Wilkołaka

Zburzyć Wilczą Górę!

Leżące na południowych krańcach miasta wzgórze nazwane Wilczą Górą, mierzące niegdyś 373 m. npm., a dzisiaj 367 m. npm. nie wygląda zbyt imponująco. Podobnie jak wiele innych wzniesień na tym terenie, posiada wulkaniczny rodowód. Jest to kolejne wzgórze tworzące krainę geograficzną nazwaną „Szlakiem Wygasłych Wulkanów". Ostatnie wulkany wygasły tu stosunkowo niedawno - kilka milionów lat temu. To, co dziś widzimy, jest zawartością komina wulkanu, przede wszystkim zastygłą w kraterze lawą wulkaniczną. Cała niegdyś wyniesiona przez wulkan nadbudowa z gleby rodzimej, na przestrzeni milionów lat uległa erozji.

Na terenie Ziemi Złotoryjskiej przebiega znacząca i najbardziej charakterystyczna część „Szlaku Wygasłych Wulkanów", biegnącego od strony Jawora w kierunku Lwówka. Wilcza Góra jest dobrym punktem widokowym, z tego miejsca dostrzec możemy znaczną część Pogórza Kaczawskiego, Gór Kaczawskich oraz Karkonosze. Na jej szczycie stało niegdyś schronisko z tarasem widokowym, a samo wzniesienie było miejscem wędrówek mieszkańców Złotoryi, a także pensjonariuszy sanatorium w Jerzmanicach Zdroju. Trasa spacerów wiodła doliną rzeki Drążnicy, przygotowanymi uprzednio ścieżkami. W dolinie występowało i wyeksponowanych było wiele osobliwości przyrodniczych, które są tworami natury (jaskinie, wodospad). Wszystkie możemy odszukać i dzisiaj, ale są zaniedbane, a w wielu fragmentach wręcz zniszczone. Dzisiaj, gdy wraca do łask turystyka piesza i promuje się czynny wypoczynek niedzielny, właściciel i administrator terenu mógłby pokusić się o zadbanie i wyeksponowanie tego szlaku spacerowego. Niewykluczone, że stałoby się to przedsięwzięciem dwóch gmin: wiejskiej i miejskiej.

Góra na przestrzeni ostatniego półwiecza radykalnie zmieniła swój wygląd. Przyczynił się do tego usytuowany tam kamieniołom bazaltu. Poprzez powojenną i zarazem bardzo intensywną eksploatację kamienia bazaltowego odkryto skały w taki sposób, że pokazany został układ geologiczny zastygłej w kraterze lawy wulkanicznej. Przekrój ten ilustruje wielokrotną erupcję wulkanu w tym samym miejscu. O wartości tego miejsca stanowi odkrycie bazaltów, które w okresie miocenu wylały się z głębokości ponad 20-30 km. Stygnący bazalt spękał w kształcie wielobocznych słupów, wygiętych łukowo, o oryginalnym wachlarzowym rozchyleniu, które geolodzy nazwali **„różą bazaltową"** lub **„kamiennym słońcem"** i są to formy bardzo rzadko spotykane w świecie.

Odkryte na Wilczej Górze skały stały się wielką osobliwością. Rozpoczęto dyskusję, która toczyła się przez wiele lat, na temat wartości geologicznych, naukowo-dydaktycznych i krajoznawczych. Rozpoczęto również batalię między przemysłem, który widzi w niej wspaniałe, gotowe do eksploatacji złoże bazaltu, a naukowcami z zakresu geologii, przyrody, turystyki, którzy drżą na myśl, że tak unikalny pomnik przyrody mógłby zniknąć bezpowrotnie. Naukowcy Uniwersytetu Warszawskiego dostrzegli i przedstawili istotne wartości naukowe Wilczej Góry, podkreślili wręcz unikalne cechy, opisując ją jako „ewenement przyrodniczy". W 1951 roku profesorowie Zwierzycki i Macko domagali się uznania Wilkołaka jako Pomnika Przyrody I Klasy. W roku 1956 ponowiono postulat i wreszcie w 1959 r. zostały docenione unikalne walory naukowe tego miejsca, które otoczono ochroną prawną. W obrębie szczytowej partii Wilczej Góry utworzono Rezerwat Przyrody. Rezerwat cechują osobliwości geologiczne i florystyczne oraz bardzo rzadkie gatunki roślinności naskalnej.

Kilka tygodni temu wznowiono prace wydobywcze na Wilczej Górze, właściciele tego zakładu pracy mają ważną koncesję na eksploatację złoża (z wyłączeniem obszaru rezerwatu i oznaczonej strefy ochronnej). Na pewno nie sprzyja to Rezerwatowi Przyrody, a przede wszystkim samej **„róży bazaltowej"**.

Obowiązujące w Polsce prawo nakłada na wszystkich, także i na Dyrekcję funkcjonującego tam kamieniołomu, obowiązek chronienia rezerwatu przyrody. Realizując to zadanie, do niedawna jeszcze dyrekcja zakładu prowadziła ciągły monitoring stanu zachowania skały, wykonując dwa razy w roku pomiary fotogrametryczne. Pomiary wykonywał dr Włodzimierz Kiełbasiewicz. Dokumentowały one także naturalne procesy erozji i wietrzenia skał, ale czy pomiary te wykonywane są dzisiaj, tego nie ustaliłem.

Wobec ciągłych zakusów właścicieli kamieniołomu na tak dużą ilość kamienia, w dodatku - tak łatwego do pozyskania, organizacje ekologiczne toczą z nimi ciągłą batalię o ochronę i zachowanie tego unikalnego miejsca. W maju 1998 r. zorganizowano z inicjatywy PTTK Legnica i I L.O. w Legnicy rajd, zakończony „Apelem o zachowanie rezerwatu przyrody nieożywionej Wilcza Góra".

Kolej linowa do kamieniołomu

W marcu 2003 r. „Frankfurter Allgemeinen Zaitung" sfinansowała wymianę młodzieży między Gimnazjum „Wilhelm von Humboldt" z Nordhausen a Liceum Ogólnokształcącym w Złotoryi, podczas której przedstawiono m.in., kwestię zachowania Wilczej Góry i stojące za tym problemy i rozbieżne interesy przemysłu i lokalnej społeczności. Sprawa została przyjęta zarówno przez niemiecką młodzież, jak i ich wychowawców oraz osoby im towarzyszące z ogromnym zainteresowaniem i zrozumieniem.

Nie będę już tutaj wyliczał wielu innych znaczących przedsięwzięć podejmowanych i realizowanych w przeszłości a mających ten sam cel.

Muszę jednak wspomnieć, co było bezpośrednim powodem podjęcia dzisiaj na łamach naszego czasopisma dyskusji na temat Wilczej Góry. W roku 2006, pod koniec minionej kadencji Rady Gminy Złotoryja, na wspólnym nadzwyczajnym posiedzeniu wszystkich komisji miało miejsce wystąpienie ludzi spoza Złotoryi, którzy przedstawiając się jako naukowcy, podjęli się przekonania radnych o znikomej, by nie rzec żadnej - wartości tej osławionej, widocznej z daleka skały zwanej „Wilkołakiem". Według nich to, co widzimy na skale, to „żadna róża" dopiero, gdy usunie się wierzchołek góry, naszym oczom ukaże się

Przedwojenna widokówka: Panorama z Wilczej Góry, Schronisko na szczycie, Jaskinia Niedźwiedzia

właściwa, ich zdaniem, „róża" z bazaltu. Przy okazji przedstawiono projekt rekultywacji terenu kopalni po zakończeniu eksploatacji i oczywiście po zburzeniu Wilczej Góry. Opracowanie zostało sporządzone przez dr. hab. Andrzeja Soleckiego z Wrocławia, na zlecenie PBD Palędzie obecnego właściciela zakładu na Wilczej Górze.

W dyskusji, w której zabrała głos większość obecnych radnych, niemal wszyscy wypowiedzieli się zdecydowanie przeciw temu pomysłowi. Tu trzeba dodać, że tylko jeden radny wyraził akceptację zgłoszonej propozycji. I tak okazało się, że radni, którzy nie legitymują się tytułami naukowymi, są zdecydowanie mądrzejsi i nie dali się ogłupić naukowcom. Widać jednak wyraźnie, że firma, głównie z kapitałem francuskim, bardzo poważnie przygotowuje się do batalii, której zwieńczeniem byłoby ułożenie Wilczej Góry pod drogami i to niekoniecznie tylko w Polsce.

W latach 50. XX w. kiedy trwała batalia o zachowanie Wilczej Góry poprzez objęcie jej ochroną prawną, nie była jeszcze widoczna cała, odsłonięta znacznie później część, którą nazywają „filarami ochronnymi".Kiedy prof. Zwierzycki i Macko oraz inni naukowcy uznali walory naukowe i dydaktyczne Wilkołaka, ich myśli skierowane były na tę właśnie górną, wystającą część przekroju czopu wulkanicznego. Skoro dzisiaj naukowcy twierdzą, że ta, później odsłonięta część jest bardziej wartościowa ze względów naukowych i poznawczych, to trzeba się zastanowić, czy nie należy rozszerzyć obszaru rezerwatu o „filary ochronne".

Przygotowując ten artykuł, w dyskusji z mieszkańcami naszego miasta usłyszałem też i takie stanowisko, z którym osobiście się nie zgadzam, „...skoro tak się niektórzy uwzięli na tę Wilczą Górę, to w jakiś, nawet podstępny sposób doprowadzą do tego, co zamierzają. Powinniśmy się zastanowić, czy nie „odpuścić" im, tylko za odpowiednio wysoką cenę. Zastanówmy się, co tu możemy „ugrać dla naszej społeczności? Np. pełnowymiarowy basen z obiektami i urządzeniami towarzyszącymi". Podejrzewam, że gdybyśmy nawet na takie rozwiązanie przystali, to Wilcza Góra bardzo szybko zniknęłaby z naszego krajobrazu, a nas by „wykołowano" i żadne przedsięwzięcie zastępcze nie zostałoby zrealizowane. Inni mieszkańcy, w dyskusji poprzedzającej napisanie tych słów, przypomnieli mi, iż już w przeszłości kreślono plan, co zrobić z tym obszarem po zakończeniu eksploatacji kamieniołomu. Planowano zagospodarować ten obszar, dostosować do potrzeb turystyki i edukacji. Plany zawarto również w „Perspektywicznym Planie Zagospodarowania Gminy Złotoryja". Ale co z tego zostało zachowane i przeniesione do dzisiaj obowiązującego „Planu...", nie wiem.

Niepokoją mnie dwie sprawy: po pierwsze, ostateczna decyzja co do przyszłości Wilczej Góry może nie zależeć tylko i wyłącznie od mieszkańców naszej ziemi, a zapaść gdzieś u szczytów władzy, która nie zawsze kieruje się racjonalnymi czy w pełni przejrzystymi przesłankami.

Po drugie, determinacja firmy Colas, która, jak widać, przygotowuje się bardzo starannie do tej batalii (i nie myślę tu tylko o projekcie rekultywacji przygotowanym przez jej firmę-córkę z Palędzia), nie napotyka jak do tej pory zdecydowanej, negatywnej reakcji ze strony władz ziemi złotoryjskiej.

Dziś nurtuje mnie pytanie: Czy przekrój wulkanu - osławiona „róża"uchowana zostanie dla potomnych? Czy ochronimy resztki Wilczej Góry i rezerwat, by w przyszłości nie uznano nas za egoistów, niewidzących dalej niż czubek własnego nosa.

Józef Banaszek

Dlaczego zachować Wilczą Górę

fot. Robert Pawłowski

Wilcza Góra to fragment dawnego wulkanu, który swoją aktywność przejawiał około 20-25 milionów lat temu, kiedy to znaczna część Dolnego Śląska była krainą czynnych wulkanów i wygasłych stożków wulkanicznych. Ściśle rzecz biorąc, w dawnych i czynnych kamieniołomach na stokach Wilczej Góry obserwujemy fragment komina wulkanicznego, prowadzącego do nie istniejącego już krateru i wypełnionego zastygłą lawą. Na Dolnym Śląsku znajduje się przynajmniej kilkadziesiąt dawnych kominów wulkanicznych dużych rozmiarów, porównywalnych z Wilczą Górą. Dlaczego więc akurat Wilcza Góra zasługuje na naszą specjalną uwagę i ochronę? Racjonalne powody są przynajmniej trzy.

Po pierwsze, dzięki dużym odsłonięciom ścian skalnych mamy unikatowy wgląd w budowę wewnętrzną dawnego komina i możemy go obserwować zarówno w przekroju pionowym, jak i poziomym. Czynny kamieniołom odsłonił ściany o łącznej wysokości około 50 m, to unikat w Sudetach, gdzie kamieniołomy eksploatujące dawne kominy są na ogół znacznie płytsze. Niewiele niższe są zarośnięte dzisiaj ściany skalne po stronie zachodniej. „Ścięcie" wulkanicznego trzonu i stworzenie zwykłej „dziury w ziemi" znacznie zmniejszy naukową rangę tego miejsca.

Po drugie, komin Wilczej Góry jest niezwykle zróżnicowany wewnętrznie. Specjaliści dopatrują się tu przynajmniej kilku faz aktywności dawnego wulkanu, czego dowodem jest skomplikowany układ słupów bazaltowych i różne ich ułożenie. Dodatkowo, w kamieniołomie zobaczyć można fragmenty skał piaskowcowych i prześledzić, jak gorąca lawa oddziaływała na starsze skały i jak je deformowała. Niektóre układy kolumn, jak słynna „róża bazaltowa", to unikaty w skali regionu, a przy tym obiekty atrakcyjne z estetycznego punktu widzenia. Tak więc, ranga naukowa Wilczej Góry nie podlega wątpliwości.

Po trzecie wreszcie, wielkość i różnorodność odsłonięć, połączona z łatwą dostępnością, stwarza unikatową szansę stworzenia na Wilczej Górze tematycznego „parku wulkanicznego" muzeum przyrodniczego na wolnym powietrzu. Miałoby ono szansę stać się jedną z głównych atrakcji regionu, który już zajmuje poczesne miejsce na geoturystycznej mapie Polski. Przykładów, jak można to zrobić, dostarczają Francja i Niemcy. We francuskim wulkanicznym Masywie Centralnym w dawnych kamieniołomach urządzono odpowiednie ekspozycje, ścieżki edukacyjne, centra informacyjne, organizowane są tematyczne wycieczki, powstają publikacje. Perspektywa „podróży do wnętrza wulkanu" od lat przyciąga tam liczne rzesze turystów. Wilcza Góra idealnie się do takiego celu nadaje, pod jednym wszakże warunkiem, że takie muzeum w dawnym wulkanie będzie jeszcze gdzie urządzić!

O przyrodniczej randze Wilczej Góry przekonano się już dawno, a rezerwat przyrody na jej zachodnich stokach powstał już w latach 50. XX w. Zapewniono w ten sposób trwałą ochronę nieprzeciętnych walorów naukowych. Popełnione w przeszłości błędy w zarządzaniu rezerwatem i dopuszczenie do jego znacznego zarośnięcia nie zmieniają faktu, że kryje się w nim unikatowy obiekt przyrodniczy, którego ponowne wyeksponowanie nie wymaga wielkiego wysiłku.

Dalsza eksploatacja po stronie wschodniej odsłoniła struktury geologiczne, które znakomicie uzupełniają ten obraz i **podnoszą Wilczą Górę do rangi tworu przyrodniczego o wybitnej wartości.** Ze wszech miar jest ona warta zachowania i udostępnienia dla przyszłych pokoleń, zwłaszcza że przy odpowiedniej długofalowej strategii działania na rzecz turystyki można będzie także na tym obiekcie zarabiać przez czas znacznie dłuższy, niż pozwalałaby na to dalsza eksploatacja.

Piotr Migoń
(dr hab., profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, geograf, członek Wojewódzkiej Rady Ochrony Przyrody)

fot. Robert Pawłowski

Między młotem a kowadłem

***Aleksander Borys:** Czy dobrze jest być wójtem gminy, która ma zasoby złoża, np. bazaltu lub miedzi, a może złota?*

Wójt Gminy Złotoryja Maria Leśna: I dobrze, i źle. Dobrze, ponieważ eksploatacja tych zasobów przynosi korzyści gminie w postaci podatków i opłaty eksploatacyjnej. Źle, ponieważ eksploatacja bywa uciążliwa dla mieszkańców.

***AB:** Cały Dolny Śląsk, w tym ziemia złotoryjska, na surowcach stoi; kiedyś złoto, miedź, teraz bazalt. Zawsze po zakończeniu eksploatacji odczuwaliśmy zmniejszenie znaczenia Złotoryi. Co zrobić teraz, aby przygotować się na to, że kiedyś skończy się bazalt?*

ML: Faktycznie, gdyby w tej chwili zamknąć wszystkie kopalnie bazaltu, to znaczenie Złotoryi zmaleje. Nam, jako mieszkańcom, będzie łatwiej, bo znikną z dróg wielkie samochody wiozące bazalt, ale przybędzie bezrobotnych, nie będzie możliwości promowania naszych okolic chociażby przez kontakty z odbiorcami, a samorząd złotoryjski ewidentnie straci nie tylko na dochodach, straci też dobrych partnerów do współpracy, jakimi są te przedsiębiorstwa.

***AB:** Są złoża kopalin tak położone, że ich właściwie nie widać. Aby nie szukać daleko, to Kopalnie Odkrywkowe Surowców Drogowych w Wilkowie. Podjeżdża się pod bramę i dopiero wtedy widać kopalnię. Z Wilczą Górą jest inaczej.*

ML: Tak, z Wilczą Górą jest inaczej. To wierzchołek, który od lat znaczy nasz teren; położony blisko miasta jest punktem charakterystycznym dla Złotoryi. Nie wspomnę już o walorach naukowych tego miejsca.

***AB:** Społeczność każdego z zakładów sama dąży do przedłużania istnienia zakładów. To naturalne, robią plany: roczne, wieloletnie, plany inwestycji. Życzymy im zawsze, aby się powiodło. Aby pracowali jak najdłużej. Ciekawe, co myślą o takich planach ci sami pracownicy, gdy idą w niedzielę na spacer na Wilczą Górę. Trudno jedno z drugim pogodzić. Czy ktoś z Pani bliskich pracuje na Wilczej Górze?*

ML: Nikt z moich bliskich, a nawet znajomych nie pracuje na Wilczej Górze, ale wiem, ile emocji towarzyszy od lat planom rozwojowym tej kopalni. Interesy pracowników i właścicieli kopalni całkowicie nie pokrywają się z wyobrażeniem okolicznych mieszkańców dotyczących planów wydobycia całego złoża.

***AB:** Sam współpracuję z Wilczą Górą i nie wyobrażam sobie, że tego zakładu kiedyś zabraknie. Ale jako złotoryjanin, jeszcze bardziej nie wyobrażam sobie, że kiedyś może nie być Wilczej Góry. Czy Pani to sobie wyobraża?*

ML: Ja też wychowałam się na ziemi złotoryjskiej i ten element krajobrazu jest dla mnie swoistym drogowskazem, gdy wracam do domu. Dziś chyba zbliża się moment, że albo będzie zakład, albo góra, ponieważ zasoby i wydobycie z zachowaniem istniejącego stożka już się chyba mają ku końcowi.

***AB:** Wyobraźmy sobie, że nasze kopalnie, że PGP Bazalt, który wspaniale współpracuje ze Złotoryją, nagle znajduje kolejne złoże i przedłuża swoją działalność o 15 lat. Chciałaby Pani?*

ML: Bardzo chciałabym, żeby nasze kopalnie znalazły złoża na terenie gminy, których wydobycie nie stworzy żadnego emocjonalnego problemu. Życzę PGP Bazalt dalszego wspaniałego rozwoju. Nie wyobrażam sobie kopalni bazaltu w każdej wsi, bo jak powiedziałam wcześniej, jest to działalność uciążliwa, ale możemy sobie pomarzyć i gdyby zdarzyła się sytuacja, że oto w każdej wsi jest złoże do rozkopania, to można byłoby zapewnić na długie lata dochody dla gminy z tego tytułu , sukcesywnie przystępując do ich eksploatacji. Ale to tylko teoria.

***AB:** Jak na ironię, pod Wilczą Górą wyremontowano, a właściwie zbudowano wreszcie piękną drogę z bazaltu. Skąd wzięto na to materiał? Może sprzedać naszą górę na inne drogi?*
A może jednak uchronić nam górę tak, aby za 20 czy za 120 lat ciągle znaczyła Złotoryję na mapie Dolnego Śląska?

ML: A no właśnie. Bazalt jest doskonałym budulcem na drogi, których tak bardzo potrzebujemy nie tylko w naszej okolicy, ale w całym kraju. Te potrzeby przemawiałyby akurat za eksploatacją wszelkich dostępnych złóż, nie bacząc na sentymentalne związki mieszkańców z tą górą i historią z nią związaną. Ale przecież decydują o tym ludzie, którzy zobowiązani są też do kształtowania i zachowania walorów historycznych tego terenu. Teoretycznie można sobie wyobrazić, że gdyby góra za kilka lat zniknęła, to za 50 - 70 lat pokolenie, które rodzi się teraz, dowie się o Wilczej Górze tylko z historii i dla niego niezrozumiały będzie związek emocjonalny obecnych mieszkańców okolicy Złotoryi.
Gdybyśmy dzisiaj zapytali mieszkańców okolicy, np. w promieniu 30 km od Wilczej Góry, o ich zdanie: czy chronić górę, czy może ją rozebrać, to też odpowiedzi byłyby podzielone i sama jestem ciekawa wyniku takiego plebiscytu.

***AB:** Gdyby nie pomnik przyrody i istnienie róży bazaltowej, od wielu lat najprawdopodobniej Wilczej Góry nie byłoby już na ziemi złotoryjskiej. Może należy powołać jakiś fanklub Wilczej Góry, który z tej róży zrobiłby taką atrakcję, że nie byłoby żadnych przesłanek i dyskusji związanych z*

eksploatacją bazaltu. Stanęłaby Pani na czele takiego fanklubu?

ML: Myślę, że tak by było. Tylko zdecydowana postawa obrońców Wilczej Góry pozwoliła w latach 80. na ustanowienie filara ochronnego dla rezerwatu i zachowanie tego, co mamy dziś.
Na pytanie, czy stanęłabym dziś na czele fanklubu obrońców Wilczej Góry, nie odpowiem jednoznacznie. Moja pozycja wójta stawia mnie w tej sprawie między „młotem a kowadłem". Jako wójt, jestem zobowiązana do zadbania o dochody gminy, jej rozwój gospodarczy, a więc powinnam sprzyjać przedsiębiorcom dającym pracę i podatki gminie. Tak będzie, dopóki będzie dalsza eksploatacja. Z drugiej strony winna jestem moim mieszkańcom zobowiązanie, że miejscowa „władza", to Ci ludzie, którzy mają nieco większy obowiązek zachowania dziedzictwa kulturowego, walorów środowiskowych i miejsc historycznie ważnych dla mieszkańców. Ważne jest tutaj również proste zobowiązanie do słuchania opinii swoich wyborców i liczenia się z nimie. Proszę więc dzisiaj nie stawiać mnie po jednej lub drugiej stronie.

***AB:** Powinniśmy się przygotowywać do dyskusji co do dalszych losów złoża Wilczej Góry. Kto taką decyzję podejmie?*

ML: Na pewno będziemy dyskutować; niestety, decyzję w tej sprawie podejmie Minister Środowiska. Tylko on może zdjąć ochronę z Wilczej Góry. Od samorządu prawdopodobnie będzie oczekiwał opinii w tej sprawie, a opinia, jak sądzę, musi uwzględniać zdanie mieszkańców, więc prawdopodobnie będzie negatywna. Opiniować ewentualne zdjęcie ochrony będzie też Wojewódzka Rada Ochrony Przyrody przy Wojewodzie, więc myślę, że dyskusja dopiero na dobre się zacznie.

Rozmawiał: Aleksander Borys

Colas wydobywa

Właścicielem kopalni bazaltu na Wilczej Górze jest od października 2005 r. firma PBD Sp. z o.o. z Palędzia (k. Poznania) należąca do grupy Colas Polska. Colas Polska zaś przynależy do wywodzącego się z Francji międzynarodowego koncernu. Odwiedzając strony internetowe polskiej grupy, poza danymi teleadresowymi niczego więcej się nie dowiemy. Bardziej „rozmowny" jest serwis internetowy zagranicznego koncernu.
„Colas" generalnie buduje drogi. Wilcza Góra, razem z Kozią Górą oraz Winną Górą k. Męcinki, są kopalniami pozyskującymi bazalt głównie na potrzeby realizowanych przez koncern budów w Polsce.

Z końcem ubiegłego roku skończyła się koncesja na wydobycie bazaltu na Koziej Górze, w związku z tym wznowiono od pewnego czasu wydobycie u podnóża „Wilkołaka", gdzie koncesja jest ważna do 30 grudnia 2011 r., a zasoby, które można pozyskać, wynoszą ok. 800 tys. ton, co wystarczy na 2 lata eksploatacji. Całe złoże bazaltu w tym miejscu przekracza 10 mln. ton. Nic więc dziwnego, że firma łakomym okiem spogląda na pobliskie wzniesienie. Wyraźnym i jednoznacznym stanowiskiem firmy „Colas" w sprawie Wilczej Góry nie dysponujemy, jednakże na podstawie rozmowy, którą przeprowadziłem w połowie stycznia z panem Stanisławem Kupcem - kierownikiem zakładu, można wysnuć pewne wnioski.

Pan Kupiec twierdzi, że erozja ściany południowej jest daleko posunięta. W związku z tym efektu „bazaltowej róży" już dawno nie ma. „Owszem, 20 - 25 lat temu efekt był nieporównywalny" - mówi i dodaje: „Sam nie wiem, gdzie jest „róża". Rocznie kilkaset ton ziemi i skały usuwa się w wyniku erozji. Poza tym mieliśmy tu już trzy samobójstwa i stale mamy kłopot z turystami, którzy zaśmiecają teren i musimy po nich sprzątać."
Z ramienia Urzędu Wojewódzkiego na Wilczej Górze stale prowadzony jest monitoring w zakresie ochrony przyrody.

Obecnie roboty górnicze prowadzi się w kierunku przeciwnym niż Rezerwat. Półka i filar są kontrolowane i mierzone przez Urząd Górniczy, gdyby zostało coś naruszone, zakład zapłaciłby ogromne kary.

Kiedyś był problem z okolicznymi mieszkańcami, którzy oskarżyli przedsiębiorstwo o spowodowanie szkód podczas eksploatacji, lecz zakład wygrał proces w sądzie. Obecnie „strzelanie" przeprowadzone jest raz w miesiącu i używa się mniejszych od dopuszczalnych ilości materiałów wybuchowych: „Od dwóch miesięcy prowadzimy roboty górnicze i nikt z mieszkańców o tym nie wie. Również nie ma problemu zapylenia z procesów produkcyjnych. Systematycznie kontrolujemy zapylenie na stanowiskach pracy i wszystko jest w granicach dopuszczalnych norm" - mówi pan Kupiec.

Obecnie zakład zatrudnia 27 osób.

O sporządzonym na zlecenie PBD Sp. z o.o. Palędzie a przedstawionym w zeszłym roku w Radzie Gminy Złotoryja „Projekcie rewitalizacji terenu po wydobyciu bazaltu w otoczeniu rezerwatu Wilcza Góra z uwzględnieniem jego rewaloryzacji", zakładającym, że „Wilkołaka" już nie będzie, pan kierownik Stanisław Kupiec nie słyszał.

Robert Pawłowski

Plan na 1 rok

Państwo Skowrońscy przyjechali na ziemię złotoryjską w 1979 roku jako świeżo upieczeni absolwenci gorzowskiego AWF-u
W planach mieli jedynie roczny pobyt, lecz pozostali do dzisiaj. Co się do tego przyczyniło?
Redakcja: Co spowodowało, że Państwo przyjechali do Złotoryi?

Pani Alina: Gdy ukończyliśmy studia, pojechaliśmy do Legnicy w poszukiwaniu pracy. Tam w kuratorium otrzymaliśmy wiele ofert, między innymi w nowopowstałej szkole sportowej w Złotoryi. Nie wahaliśmy się długo, gdyż mój brat, który również mieszka w tym mieście, zachęcił nas do przyjazdu.

***Red.:** Dlaczego Państwo wybrali właśnie złotoryjską szkolę, a nie inną?*

Państwo Skowrońscy: Tutaj urzekła nas przyjazna atmosfera. Dyrektor p. Józef Górzański był do nas, jak i też do innych nauczycieli, sympatycznie nastawiony. Odbieraliśmy też życzliwe sygnały od dyrektora do spraw sportu P. Tadeusza Pietroszka i całego grona pedagogicznego. W szkole sportowej dostaliśmy bardzo dużo godzin. W czasie rozmowy z inspektorem oświaty zaproponowano mi również prowadzenie MKS Aurum - Miedzywojewódzkiej Ligi Kobiet, której poświęciłam 8 lat. Na początku naszego pobytu w tej szkole zachęcono nas do tego, aby tu zostać, gdyż brakowało nauczycieli wychowania fizycznego, a poza tym naszym atutem był fakt, że oboje mieliśmy kwalifikacje trenerskie. Zatrudniono nas od września, a kilka miesięcy później otrzymaliśmy z mężem decyzję o przydziale mieszkania. Życzliwość inspektoratu w osobie pana Alfreda Michlera, dyrekcji oraz władz zatrzymały nas tutaj.

***Red.:** Jakie były Państwa pierwsze wrażenia ze Złotoryi?*

Pan Andrzej: Przyjechaliśmy do Złotoryi autobusem na dworzec. Gdy wysiedliśmy i ujrzałem te górzyste tereny, wówczas wspomniałem obozy narciarskie. Oczywiście zwróciłem też uwagę na starą, lecz przyjemna dla oka zabudowę.

Pani Alina: Mnie również zachwyciło piękne położenie miasta. Szczególną uwagę przykuła baza sportowa na terenie szkoły (ścieżki akrobatyczne, sala, stadion) Jako młodzi nauczyciele widzieliśmy tutaj spore możliwości do rozwijania się.

***Red.:** Co się zmieniło od tamtej pory?*

Państwo Skowrońscy: Miasto jest nie do poznania, jeśli chodzi o estetykę, stan zabytków. Na ulicach Złotoryi widać pracę samorządową. TMZZ również wiele robi dla miasta. Każdy, kto tu przyjeżdża, jest zachwycony naszym miejscem na ziemi. Niedawno powstała piękna i funkcjonalna hala sportowa. Niestety, wielu rzeczy jeszcze brakuje. Na terenie szkoły miał powstać kryty basen, plany były gotowe, w latach osiemdziesiątych uczniowie zbierali pieniądze ten cel, lecz budowa nie doszła do skutku.

***Red.:** Czy żałują Państwo decyzji o pozostaniu na stałe w Złotoryi?*

Pani Alina: Absolutnie nie żałujemy. Mimo że czułam sentyment do moich stron, to teraz po 27 latach śmiem twierdzić, że Złotoryja jest moim miastem. Natomiast dla naszych dzieci to w Złotoryi są korzenie. Mimo że wszystkie nasze pociechy obecnie przebywają we Wrocławiu (obie córki studiują ekonomię, syn ukończył już kierunek ekonomiczny), to mam nadzieję, że kiedyś tu powrócą.

***Red.:** Czy pojawiały się w Państwa życiu chwile tęsknoty za korzeniami rodzinnymi?*

Pani Alina: Nie miałam momentów tęsknoty, gdyż czas - a właściwie jego brak na to nie pozwalał. Od 20. lat prowadzę zajęcia z akrobatyki, dzięki temu czuję się potrzebna i spełniona. W tej chwili na prowadzone przeze mnie zajęcia przychodzą moje uczennice (te sprzed lat i obecne) i jest mi niezmiernie miło. To właśnie dopinguje. Wiem, że jestem tam, gdzie powinnam być.

***Red.:** Co dzisiaj wypełnia Państwu czas?*

Pani Alina: Jestem nauczycielem w LO im. Jana Pawła II w Złotoryi, angażuję się w dodatkowe zajęcia z siatkówki oraz aerobik. Zorganizowałam kurs tańca towarzyskiego, który prowadzi

zawodowy tancerz, pan Lewandowski. Kiedy dzieci „wyszły z domu", mam czas tak zorganizowany, że staram się również udzielać dla mieszkańców miasta, organizując różnego typy turnieje, co sprawia mi niewątpliwą przyjemność. Robię, to, co kocham.

Pan Andrzej: Ja natomiast jestem dyrektorem gimnazjum i to pochłania większość mojego czasu. Na dodatkowe zajęcia zaczyna mi go brakować.

***Red.:** Jakie mają Państwo plany i marzenia?*

Pani Alina: W tej chwili jeszcze pracuję zawodowo, co daje mi dużą satysfakcję. Kiedy odejdę na emeryturę, to przede wszystkim chciałabym służyć miastu. Wbrew pozorom mam jeszcze dużo czasu. Nadal będę chciała prowadzić zajęcia dla pań, czyli aerobik Jak byłaby taka możliwość, to również chciałabym pomóc w siatkówce męskiej, która właśnie się rozwija. Gdyby się pojawiła taka propozycja, to z przyjemnością zajęłabym się tym. Wówczas, po przekwalifikowaniu, zajęłabym się chłopakami. Zawsze to jakaś odmiana.

Pan Andrzej: Moje marzenia? Chciałbym, aby obiekty sportowe były bardziej dostępne dla młodzieży, nie tylko w szkole czy na zajęciach pozalekcyjnych, ale również wieczorami.

***Red.:** Życzymy Państwu spełnienia marzeń i realizacji planów. Dziękujemy za rozmowę.*

Ewa Derbisz i Monika Kozubska

Studniówka tuż

Styczeń i luty to czas studniówek, ostatnia szansa, by wyszaleć się przed maturą i odpocząć od nauki. Choć na chwilę zapominamy o czasie, który nieubłaganie goni.

Od Nowego Roku rozpoczynają się przygotowania do balu maturalnego. Rodzice maturzystów pragną, aby ten wyjątkowy dzień pozostał dla ich pociech miłym wspomnieniem na całe życie, dlatego wkładają w przygotowanie jej wiele starań.

Wielu przyszłych absolwentów boryka się z problemem wyboru partnera. "Nie chcę pojawić się na studniówce bez osoby towarzyszącej. Dlatego też zapraszam młodszą koleżankę", "Muszę iść z chłopakiem, będę wyglądać głupio, tak sama" nie raz słychać na szkolnym korytarzu. Niektórzy rozgoryczeni porażką postanawiają zrezygnować z balu, inni zaś pełni optymizmu oczekują, iż będą się świetnie bawić samotnie. Dopiero w ostateczności zapraszają brata lub siostrę.

Największy kłopot mają maturzystki. "Nie mogę doczekać się studniówki i tego, jak będę wyglądać. Sukienka za 600 zł, makijaż i fryzjer to kolejne 200 zł. Nie wspominając już o dodatkach: torebka, buty, solarium, tipsy. W sumie około 1200 zł. Muszę w końcu wyglądać szałowo" - zwierza się jedna z nich. Aby tradycji stało się za dość, dziewczyna musi przyodziać czerwoną podwiązkę, którą podczas zabawy zdejmie jej partner. Należy pamiętać także o czerwonej bieliźnie, która ma przynosić szczęście. Ważną rolę odgrywa również subtelny makijaż, który podkreśli kobiecą urodę lub zamaskuje jej mankamenty. "Im mniej i naturalniej, tym lepiej. Ważne są podkreślone, najlepiej czarne bądź niebieskie, mocno podkręcone rzęsy. Kolor cieni do powiek powinien pasować do kreacji"- radzi wizażystka. Do pełnej gotowości brakuje tylko fryzury, która wraz z make-up'em stworzy wyjątkową całość i pozwoli zabłysnąć. "Fryzury powinny oszałamiać. Zazwyczaj doradzam dziewczętom eleganckie koki. Niektóre dziewczyny wybierają dość ekstrawaganckie, cieniowane i stonowane pasemkami włosy"- mówi fryzjerka.

Maturzystom wystarczy wygodny garnitur, koszula w odpowiednim kolorze, krawat i eleganckie buty. "Na swoją studniówkę byłem ubrany w marynarkę, którą kupiłem za 100 zł. Miałem jakieś dziwne spodnie i pożyczone lakierowane, czarne buty" - wspomina znajomy. Nie muszą też martwić się fryzurą, wystarczy doprowadzić do porządku włosy, by sprawiać wrażenie dżentelmena. "Młodym mężczyznom polecamy krótkie fryzury, czasami wycieniowane i utrwalone żelem. Ostatnim krzykiem mody stało się obcinanie włosów we wzory. Zdarzają się również pasemka na głowach maturzystów"- mówi fachowiec

"To niesamowite, jak piękna w tę noc staje się nasza młodzież. Na co dzień w dżinsach i powyciąganych swetrach, nagle objawia się nam przemieniona. Nie chce się wierzyć, że to nasze uczennice: te wysokie, szczupłe, olśniewające łanie w czerni, o głowę wyższe od swoich nauczycielek" - słyszę opinię nauczyciela, który dodaje: "Żebyś widziała, jak oni ćwiczyli ten taniec na lekcjach w-f! Słuch stępiony rockiem, rapem i heavy metalem; nie wiedzą, kiedy dygnąć, kiedy się ukłonić. Ale kiedy już znaleźli się na parkiecie i zechcieli popisać przed partnerką - stanęli na wysokości zadania. Noblesse oblige".

Wreszcie nadchodzi oczekiwany dzień. Zabawa trwa do białego rana, a po niej następuje przykry powrót do rzeczywistości, w której portfele świecą pustkami, a książki czekają by podzielić się swoją wiedzą. W końcu uświadamiamy sobie, że do egzaminu dojrzałości pozostało już tylko sto dni.

Agata Arian, Aniela Pietruszczak

Warto przeczytać

Wokół Wielisławki

Od początku stycznia 2007 r. Wielisławkę można zwiedzać ścieżką przyrodniczą, opracowaną przez Piotra Norkę, a wykonaną przez Nadleśnictwo Złotoryja. Równocześnie ukazał się przewodnik edukacyjny, omawiający sześć przystanków tej trasy nazwanej „Wokół Wielisławki", wydany przez wspomniane nadleśnictwo. Piotr Norko dokładnie i ciekawie opisuje faunę i florę, tajemnicze sztolnie oraz zabytkowe ruiny grodziska i karczmy na szczycie wzniesienia. Książka jest bogato ilustrowana, zawiera mapę gminy Świerzawa oraz leśnictw podlegających złotoryjskiemu nadleśnictwu. W przewodnik można się zaopatrzyć u wydawcy. Dostępny jest także w bibliotekach oraz w TMZZ. (red)

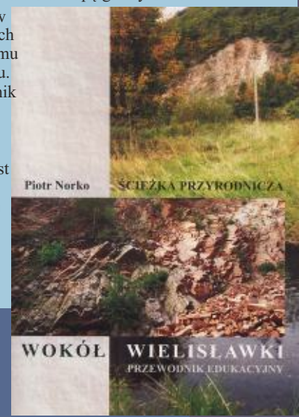

Diana na Łowach

Jest sobota rano. Jak na ten dzień tygodnia, bardzo wcześnie. Mogłabym jeszcze wykorzystać okazję na sen, ale reporterski zew nakazuje zupełnie inne rozwiązanie. Jadę w kierunku Pielgrzymki. Pogoda jak na zimę zupełnie nietypowa. Co prawda jest ciepło, ale chmury przewalają się nad głową i co chwilę pada deszcz. Szaro. Później się okaże, że ludzie, z którymi się spotkam, nie mają w swoim języku określenia zła pogoda. Jest tylko dobra albo bardzo dobra. No cóż, tym razem trafiłam na dobrą.
Koło sklepu w Pielgrzymce, nieopodal skrzyżowania widzę malowniczą grupę. Po charakterystycznych strojach i atrybutach orientuję się, że jest to pierwszy cel mojej wyprawy. Jadę dzisiaj na polowanie. I choć ostatnio słowo kojarzy się z buszowaniem po sklepach, ja mam na myśli pierwotne znaczenie pojęcia. Do tej pory polowanie znałam jedynie z sugestywnego opisu w „Panu Tadeuszu".

O 8 rano spotykam się z myśliwymi. Dzisiaj odbędzie się VI Polowanie Instruktażowe organizowane przez Koło Łowieckie „Tumak" z Jerzmanic Zdroju. Miejsce zbiórki jest nieprzypadkowe. Przy skrzyżowaniu znajduje się obelisk upamiętniający 50. rocznicę powstania „Tumaka". Uroczystość obchodzono w ubiegłym roku.

Pan Zbigniew Michalczyk, obejmując obowiązki gospodarza, objaśnia gościom okoliczności wzniesienia obelisku. Gości jest wielu. Myśliwski obyczaj nakazuje zapraszać na polowania kolegów z zaprzyjaźnionych kół łowieckich.
Ceremonia powitania jest krótka i rzeczowa. Po niej jedziemy wszyscy do Jastrzębnika. Tam mieści się stanica „Tumaka". Z niej wyjdziemy na polowanie.
Przeraża mnie, że ciągle pada. Wydaje się jednak, że aura tylko mnie psuje humor, wszyscy pozostali są podekscytowani. Początkowo miałam opory przed udziałem w zupełnie nowej dla mnie przygodzie. Teraz też zadawałam sobie filozoficzne pytanie: Co ja tu robię?
Jednak rytuał myśliwski i niezwykła, przyjazna atmosfera czynią cuda.

***

Jako że jest to polowanie instruktażowe, należy uczestników zapoznać z pełnym rytuałem myśliwskim. W związku z tym obserwuję kolejną ceremonię przyjęcie do Koła nowego członka (tak naprawdę dzisiaj nikogo nowego „Tumak" do siebie nie przyjmuje to tylko pokaz).
Przypomina mi się pasowanie na rycerza, tylko oręż nie ta. Nie jest łatwo zostać pełnoprawnym myśliwym. Trzeba przejść okres kandydatury, kiedy uczestniczy się w polowaniu na prawach obserwatora. Potem należy zdać egzaminy i opłacić, wcale nie małe, wpisowe (ok. 1000 2000 złotych) oraz składki (ok. 400 złotych rocznie). Wtedy dopiero nadchodzi czas ślubowania.
Myślistwo to nietanie hobby. Wystarczy spojrzeć na broń. Najczęściej stosuje się dubeltówki i sztucery przyznam, że dopiero teraz widzę różnicę między jednym a drugim. Niektóre strzelby wyposażone są w lunety, a to kolejny wydatek.

***

Sygnaliści dają znak, że ceremonia ślubowania dobiegła końca. Za chwilę odbędzie się losowanie stanowisk i wymarsz na polowanie.
Ze względów bezpieczeństwa myśliwi zakładają na kapelusze i czapki pomarańczowe opaski. Rozpoczyna się pierwsze gonienie, zwane w myśliwskim języku miotem.

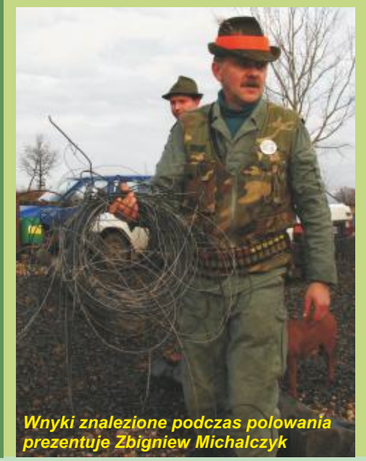
Wnyki znalezione podczas polowania prezentuje Zbigniew Michalczyk

Wyruszamy na stanowiska. Towarzyszę p. Marianowi Stachów, myśliwemu z Tymowej. Przez najbliższe godziny będzie on moim przewodnikiem. Jego zadanie nie jest łatwe, ponieważ musi wytłumaczyć zupełnie zdezorientowanemu laikowi, na co i jak będziemy polować.
Dzisiaj mamy do odstrzału dzika i lisy.
Sygnaliści oznajmiają początek polowania, rusza naganka, której zadaniem jest wypłoszenie zwierzyny, by biegła w stronę myśliwych.
Słyszę kilka strzałów z sąsiedniego stanowiska, a potem następuje długi okres oczekiwania. Siedzę na krzesełku myśliwskim, balansując w jedną i drugą stronę, moknę (bo pogoda wciąż dobra) i wypytuję o wszystko, czego nie rozumiem. Pytań mam wiele, ale wiem, że myśliwy musi skupić się

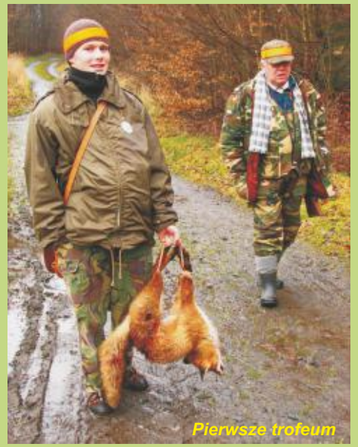
Pierwsze trofeum

też na obserwacji terenu.
Kiedy wychodzi naganka, sygnaliści dają znak zakończenia pierwszego miotu. Okazuje się, ze ustrzelono lisa. Dokonał tego nasz sąsiad, którego strzały słyszeliśmy na początku.
Teraz następuje zmiana stanowisk i rozpoczyna się kolejne gonienie. Sytuacja się powtarza, z tą jednak różnicą, że triumfatorem drugiego miotu jest p. Marian. Teraz on ustrzelił lisa.
Dodatkowym „łupem" padły wnyki, rozstawione przez kłusowników. Myśliwi klnąc siarczyście (jak na moje wrażliwe ucho), znoszą coraz to więcej drucianych lin, których przeznaczeniem było uśmiercenie w okrutny, niehumanitarny sposób leśnej zwierzyny. Teraz zaczynam rozumieć różnicę między polowaniem a mordowaniem zwierząt. Myśliwi opowiadają o kłusowniczych metodach zabijania. Z irytacją wypowiadają się na temat bezradności wobec procederu. - Zwierzęta, które wpadają w sidła, umierają bardzo długo. Niektóre, nie mogąc uciec, odgryzają sobie łapy lub zdychają z głodu i pragnienia bądź duszą się - wyjaśnia p. Zbyszek

***

Po krótkim śniadaniu przy ognisku przychodzi pora na ostatnie gonienie. Rytuał się powtarza. Jednak tym razem nie ma żadnego trofeum.
Na tak zwanym pokocie leżą tylko dwa lisy, rytualnie nakryte gałązkami świerku. Taką samą gałązkę otrzymuje myśliwy, który oddał celny strzał.
Dzika nie upolowano.
Dowiaduję się, że w sytuacji, kiedy koło łowieckie nie ustrzeli ustalonej w rocznym planie ilości saren i jeleni, po zakończeniu roku gospodarczego zobowiazane jest do wpłaty kwot tytułem partycypacji w kosztach ochrony lasu

"Król polowania" - Marian Stachów

przed zwierzyną. O wielkości tych kwot decyduje starosta.

***

Odstrzał zwierząt leśnych jest próbą regulacji ekosystemu. W sytuacji, kiedy nie ma naturalnego zagrożenia dla lisów bądź dzików, należy „poprawić" naturę. Jednak polowanie nie jest jedynym zajęciem myśliwych. Z dużym entuzjazmem opowiadają mi o programie zasiedlania łowiska kuropatwami. W ubiegłym roku wypuściliśmy 100 kuropatw, a na marzec planujemy zasiedlić 200 sztuk - wyjaśnia p. Zbyszek.
Myśliwi to zupełnie przyjaźnie nastawieni do świata ludzie, którzy kochają las i, jak mówią, spotykają się w nim, by odpocząć.
- Zajmujemy się też organizowaniem wystaw. Najwspanialsza to ta w Tymowej - zachwala p. Marian - lokalny patriota. Kolekcjonujemy przedmioty związane z myślistwem, znaczki, noże, ale również fotografie i obrazy, nie tylko trofea dodaje.
- W marcu współorganizujemy II Kaczawski Konkurs Sygnalistów Łowieckich, który w bieżącym roku uzyskał rangę konkursu

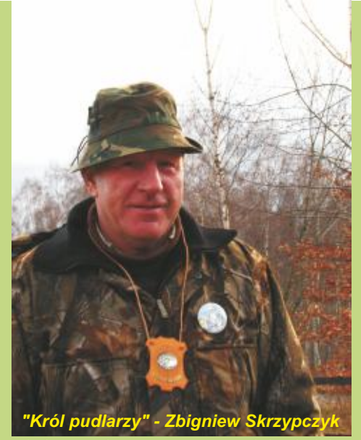
"Król pudlarzy" - Zbigniew Skrzypczyk

międzynarodowego - uzupełnia kolejny myśliwy. W Złotoryi zresztą.

***

Na zakończenie całej imprezy wybieramy króla polowania (jest nim myśliwy, który upolował najładniejszą sztukę) oraz króla pudlarzy, czyli największego pechowca.
Trwa dyskusja. Na szczęście krótka, bo przecież na pokocie tylko dwa lisy.
Mistrz ceremonii ogłasza werdykt i następuje dekoracja. Teraz chwila dla fotoreportera.
Idziemy na posiłek przy ognisku. Gospodarze serwują flaczki, które nie maja nic wspólnego z upolowaną zwierzyną, i chleb. Jeszcze tylko pamiątkowe zdjęcia i wracamy do domu. Najwyższa pora, bo wyglądam jak topielica (przecież deszcz konsekwentnie pada). Myśliwi w swoich ciepłych kurtkach, nieprzemakalnych butach i kapeluszach prezentują się o wiele lepiej. Może kiedyś też zainwestuję w taki strój i.. strzelbę. Tylko wypadałoby jeszcze nauczyć się strzelać. A to już zupełnie inna sprawa.

Polowali: z psiarni - Iwona Pawłowska
z aparatem - Robert Pawłowski

Terminy i zwroty zaczerpnięte z gwary łowieckiej

Ambona - stanowisko myśliwskie, wieżyczka, zbudowana z drewna, rzadziej z metalu.
Biała stopa - białe pole - teren całkowicie pokryty śniegiem.
Darz Bór ! -1. Myśliwskie pozdrowienie. Niech bór (obficie) darzy, obdarowuje; 2. Uroczysty sygnał myśliwski, grany na sygnałówce.
Diana - kobieta myśliwy.
Dojść postrzałka - odszukać ranną, postrzeloną zwierzynę.
Dublet - dwa celne strzały oddane przez myśliwego bezpośrednio po sobie do dwóch różnych celów.
Fajki - kły z górnej szczęki odyńca (samca dzika). Wraz z szablami, kłami z żuchwy, stanowią trofeum myśliwskie.
Farba, posoka - krew zwierzyny.
Fryc -myśliwy młody stażem, niedoświadczony.
Gruby - (gruby dzik) - duży, wyjątkowo okazały zwierz.
Medalion - spreparowana głowa z szyją i karkiem zwierza, ptaka.
Mięsiarstwo - pogardliwie - upatrywanie w łowiectwie i polowaniu wyłącznie źródła białka zwierzęcego.
Miot - pędzenie, zakład - określona powierzchnia lasu, pola, z której naganka pędzi (nagania) zwierzynę w kierunku myśliwych.
Naganiacz - osoba, której rola na polowaniu polega na napędzeniu zwierzyny w kierunku myśliwych.
Naganka - ogół naganiaczy uczestniczących w polowaniu.
Ostatni miot - żartobliwie - myśliwska biesiada w terenie, organizowana bezpośrednio po polowaniu.
Pędzenie - p. miot.
Pióro - 1. ogólnie - ptactwo łowne (strzelać do pióra - polować na ptactwo); 2. Rząd pokotu, przeznaczony dla ubitego ptactwa;3. Pióra chybu - długie i sztywne włosy na karku dzika. Patrz chyb.
Pokot, rozkład - ułożenie upolowanej zwierzyny w rzędy z zachowaniem myśliwskiej hierarchii gatunków.
Postrzałek - zwierz, ptak zraniony przez myśliwego.
Przesmyk, weksel - stała, znana trasa przemieszczania się zwierzyny w konkretnej części lasu.
Rogacz - kozioł - samiec sarny.
Sadyba -koliba - myśliwska kwatera.
Stażysta - kandydat na członka Polskiego Związku Łowieckiego, odbywający obowiązkowy staż w kole łowieckim lub w ośrodku hodowli zwierzyny. P. opiekun stażysty.
Sygnalista - myśliwy grający sygnały myśliwskie na sygnałówce.
Tropy - ślady zwierzyny lub ptactwa w postaci wyciśniętych na śniegu lub ziemi, odcisków kończyn.
Wziąć miot - przeprowadzić polowanie na obszarze konkretnego miotu. P. miot.
Zestrzał - miejsce, w którym stała zwierzyna w chwili oddania do niej strzału.
Materiał dostarczony przez KŁ "Tumak"

Zabobony i przesądy myśliwskie

Kobiety mają duży wpływ na pomyślność łowów. Czasem zbawienny, a czasem odwrotnie... Nie wolno, i to pod żadnym pozorem, pozwalać na to, by kobieta dotknęła naszej broni. Dowiedziono przy tym złych skutków bliskości kobiecej garderoby w pobliżu strzelby czy sztucera. Niedbale rzucona część niewieściego odzienia, nawet najdelikatniejsza, gdy upadnie w pobliżu równie niedbale pozostawionej strzelby - a życie zna takie przypadki - może broń zauroczyć. Odczynienie strzelby to proces trudny i długotrwały.
Obszerniejszego omówienia wymaga zwyczaj chwytania damskiego kolana przed wyruszeniem na łowy.
Pradawni łowcy do takiej wyprawy przygotowywali się bardzo starannie. By rankiem być w jak najlepszej formie noc spędzali wstrzemięźliwie. Bez kobiet. Z drugiej jednak strony, by podnieść poziom adrenaliny, niezbędnej na niebezpiecznych łowach, a przy tym ciągle mieć w pamięci rozkosze, jakie czekają gdy polowanie uda się przeżyć - myśliwski przodek przed wyjściem na łowy swoje kobiety oglądał, a nawet je dotykał. Strategia ta przetrwała do naszych czasów w formie pogłaskania damskiego kolanka przed wyruszeniem na łów.
Ze zwyczajem tym wiąże się zasada "Im grubszy zwierz, tym wyżej bierz". Chodzi o to, że - w zależności od gatunku zwierzyny, na który chce się zapolować, a precyzyjnie w zależności od tego, jak srogie niebezpieczeństwo ów zwierz może sprowadzić na myśliwego - damę chwytać trzeba, w myśl przytoczonej zasady, za właściwą część ciała. I tak : na przepiórki i kuropatwy wystarczył mały palec. Zając wymagał już całej stopy. Gdy myśliwy szedł na lisa - chwytał za kolano. Jeleń, a tym bardziej łoś, domagał się dotknięcia uda. O przygotowaniach do polowania na żubry, tury i niedźwiedzie stare podręczniki łowiectwa wstydliwie milczą ...Myśliwy nie poluje w Boże Narodzenie i Niedzielę Wielkanocną. W dniu polowania z łóżka wstać należy prawą nogą. Założenie myśliwskiej odzieży na lewą stronę to fatalna wróżba na resztę dnia. Jeśli na schodach dobrze wychowany sąsiad, absolutnie w dobrej wierze, powinszuje łowcy "Udanych łowów" czy "Dobrego polowanka" - od razu można wracać do łóżka. To chyba najgorsza wróżba. Myśliwemu życzy się by mu Bór darzył. Próg domu przekraczać należy prawą nogą. Jeśli szczęśliwie wydostaniemy się jednak na ulicę to nie wolno odwracać głowy i spoglądać w stronę domu, choćby żona w oknie machała nam chusteczką. Jeśli myśliwy, wychodząc na łowy, czegoś zapomni - nieważne, czy będzie to drugie śniadanie, czy strzelba - nie wolno wracać. Bardziej się opłaci pożyczenie broni od któregoś z niepolujących tego dnia kolegów.
Wiele można wyczytać z zachowania myśliwskiego psa. Trzeba pilnie obserwować, jak zwierz robi kupkę. Jeśli ogonem w stronę myśliwego, czyli "na torbę" - szanse rosną. Jednak gdy rzecz się dzieje "twarzą w twarz", czyli "na puste pole", korzystniej będzie spróbować szczęścia w Lotto.

Materiał dostarczony przez KŁ "Tumak"

Zapomniana Historia

Aleksander Bielecki - opowiadanie inspirowane prawdziwym wydarzeniem z roku ...

Deszczowy, senny dzień.. Samotna karczma na poboczu, do której zaglądają głównie najgorsze mendy..
Pusta droga.. Cisza..
Podejrzana cisza.
Ową cichość przerywa jedynie wycie wilków w okolicznym lesie.

Nagle, raźnym, acz zmęczonym krokiem nadchodzi ON. Wyprostowaną sylwetkę okrywa długi, granatowy płaszcz. Twarz jego skryta jest pod kapturem. Nie posiada żadnej broni, jednak nie wygląda na kogoś, kogo łatwo przestraszyć.
Wchodzi do karczmy. Większość z obecnych, czyli oberżysta, bard, dwóch wieśniaków i strażnik kierują na niego spojrzenia. W rogu jest jeszcze jakiś młodzian z dziewką, jednak oni uwagę poświęcają sobie. Całkowicie.

- Coś nie za dobrze panicz wygląda nieśmiało rzuca oberżysta. Może podam strawy czy wina? Jeśli, oczywiście, masz tam w sakwie jakieś pieniądze.

- Tak, daj mi jedzenie i coś do picia. Zamiast zapłaty opowiem jednak o nowym występku zbójców leśnych.

- Zbójców leśnych powiadasz? Mało to ja nasłuchałem się o nich i to bez serwowania darmowego posiłku?

- Zapewne, jednak moja opowieść jest… wyjątkowa.

- Hm… Zgoda. Jednak niczego nie zmyślaj.

- To wydarzyło się dwa dni temu w okolicy naszego miasta. Jeden z bandytów, mocno wzburzony z powodu niesprawiedliwego podziału łupów z napadu - porwał, wychędożył i poderżnął gardło córce Gerhorda, swego przywódcy. Ten zaś, usłyszawszy co się stało, postanowił się straszliwie zemścić…

- Opowiadajże dalej popędzał jeden z klientów.

- Pierw dolej piwa karczmarzu…. Ach, dawno nie piłem tak zacnego trunku!

- Chyba o czymś zapomniałeś? cuchnącym piwskiem oddechem wtrącił strażnik. Jego szeroko rozdziawione oczy zdawały się krzyczeć z przerażenia, na samą myśl zemsty, jaką mógł sprawić Gerhord. Ot, widać doświadczony z niego strażnik.

- Taaak.. więc jak już mówiłem, herszt postanowił się zemścić. Rozesłał swych ludzi po pobliskich lasach i wsiach, by znaleźli zdrajcę. Po paru godzinach poszukiwań znaleźli oni ciało zbiega leżące bezwładnie na leśnym trakcie. Miał on chyba złamany kręgosłup, prawdopodobnie zrzucił go koń.. Ponoć mógł ruszać jedynie oczami i trochę mówić.

- Cóż wtrącił oberżysta znając Gerhorda, myślę, że raczej nie kazał go dobić, by skrócić jego męki..

- Prawo rzekliście. Na oczach tego pechowca kazał podwładnym obciąć mu obie nogi. Kawałek po kawałku.. Nagle jednak, gdy jedna noga już leżała parę metrów od ciała i zbóje zabierali się za następną, herszt powstrzymał ich. Miast tego polecił wbijać mu w ręce zaostrzone paliki. Ponoć niewyraźny wrzask słyszano na parę mil we wszystkie strony.

W karczmie zrobiła się taka cisza, że słychać było deszcz uderzający o ziemię na zewnątrz.

- Następnie kazał przyprowadzić swoje tresowane wilki. Te przywiązano do pobliskiego drzewa, by mogły dosięgnąć swój cel, po czym roześlono bestie, rzucając w nie kamieniami. Wściekłe, doskoczyły do torturowanego, wpół świadomego człowieka i rozszarpały go. Dosłownie. Zmasakrowana twarz. Poobgryzane kości, skóra w kilku miejscach trzymająca się na pojedynczych kawałkach.. Oto co z niego zostało.
Gerhord, zadowolony z siebie polecił wszystkim wracać do kryjówki. Resztki ciała leżały do dzisiaj rana, kiedy to wędrowny kupiec znalazł je. Sądził, że to zwykłe zrządzenie losu, ot na bezbronnego chłopa rzuciło się stado wilków. Nawet miejscowy starosta, usłyszawszy o całej sprawie ogłosił jedynie, że:
„w lesie niedaleko Złotoryi znaleziono zwłoki mężczyzny pożartego przez psy i wilki".
Zabawne jest, że żadne psy nie miały z tym nic wspólnego

- A ty skąd to wszystko tak dokładnie wiesz, hm? spytał strażnik

- To, to już całkiem inna historia...

Zdarzyło się w styczniu

1343 - książęta Legnicy Wacław i Ludwik potwierdzili przywileje Złotoryi, a rok później kościół w Rokitnicy posiadał dochody w jęczmieniu i owsie z łanów należących do miasta. **1336** - okazało się, że w wyniku wojen domowych między książętami ucierpiała tutejsza siedziba joannitów(ich komturia znajdowała się w miejscu dzisiejszej Szkoły Podstawowej nr 1 i ul. S.Żeromskiego).
1550 - ścięto dwóch z trzech uczestników bójki w gospodzie(patrz grudzień 1549), trzeci uszedł z życiem dzięki wstawiennictwu bogatych krewnych.
Zapewne w styczniu **1820** r. jeden z urzędników miejskich uzyskał zezwolenie na otwarcie pierwszej amatorskiej sceny teatralnej w jednej z sal ratusza.
1877 - w nowym gmachu przy dzisiejszej ul. Kolejowej uruchomiono zakład opiekuńczy dla sierot oraz szkołę fundacji małżeństwa Schwabe-Priesemuth(potem działało tutaj gimnazjum, dzisiaj LO i Gimnazjum nr 1).
1916 - zmarł radca Bruno Kühn, miasto zawdzięczało mu np. tor saneczkowy na stokach Góry Mikołaja oraz budowę gazowni.
1946 - zarejestrowano m.in. Powiatowy Związek Spółdzielczy „Samopomoc Chłopska" i Komitet Miejski Organizacji Młodzieży TUR(OMTUR), rozpoczęto rozbudowę pierwszej powojennej drukarni.
1948 - Zakłady Górnicze „Lena" przystąpiły do remontów zdewastowanych przez Armię Czerwoną budynków przy ul. Górniczej, wprowadzono nowy podział gmin w powiecie oraz powołano Miejską Bibliotekę Publiczną.
1957 - powstał Klub Sportowy „Piast" przy Złotoryjskich Zakładach Wyrobów Filcowych.
1969 - powstała sekcja akrobatyki przy KS „Górnik", prowadzona przez Zygmunta Biegaja, której działalność zapoczątkowała nasze światowe sukcesy w tej dyscyplinie sportu.
1972 - zlikwidowano kino „Uciecha" przy ul. S. Żeromskiego, które wielu złotoryjan z nostalgią wspomina po dzień dzisiejszy: To pierwsze powojenne kino, bilety były tutaj tańsze niż w Domu Kultury, a ile razy udawało się wejść na filmy dozwolone dla dorosłych… ech, szkoda gadać.
1974 - urodziły się pierwsze złotoryjskie trojaczk,i a także uruchomiono Państwowe Przedszkole nr 4 przy ul. Wojska Polskiego.
Stulecie urodzin Władysława Spasowskiego(patrona Biblioteki Pedagogicznej) uczciliśmy w **1977** r. sesją popularnonaukową.
1978 - Fabrykę Ozdób Choinkowych przekształcono w Spółdzielnię Pracy Wyrobów Szklanych i Mineralnych „Vitrum".
1985 - Złotoryjski Ośrodek Kultury wydał(ocenzurowaną oczywiście) pierwszą część *Bibliografii historii Złotoryi*, która pomaga nadal w publikacjach o Ziemi Złotoryjskiej.
1986 - odbyła się pierwsza próba Chóru Nauczyciela „Bacalarus" pod dyrekcją Stanisława Bąka(spotkania organizacyjne chóru z inicjatywy Alfreda Michlera miały miejsce w grudniu 1985); Oddano również do użytku pierwszy budynek Osiedla nad Zalewem.
1988 - połączenie miasta i gminy: naczelnikiem został Bogusław Cetera(patrz grudzień 1991). W tym samym roku Chór „Bacalarus" wystąpił z pierwszym koncertem kolęd w kościele NNMP. W **2001** r. noworoczny koncert kolęd przybrał euroregionalny i ekumeniczny charakter.
1995 - w holu ZOK-u odnowiono(z incjatywy A. Michlera) szesnastowieczną tradycję śpiewów bożonarodzeniowych. Kolędę „Wśród nocnej ciszy" zaintonował Burmistrz Kazimierz Zwierzyński.
1999 - odbyło się zebranie założycielskie Związku Pracodawców Powiatu Złotoryjskiego.
2000 - spłonął zabytkowy budynek dawnego młyna przy ul. Kolejowej.
2004 - burmistrz Ireneusz Żurawski po raz pierwszy wręczył statuetki „Kryształ Złota".
2005 w Rynku maturzyści zatańczyli po raz pierwszy poloneza, a w ZOKiR odbył się I Festiwal Kolęd i Pastorałek.

Ponawiamy prośbę o nadsyłanie uzupełnień oraz ewentualnych sprostowań, aby kalendarium było jak najpełniejsze.

(gar)

KRONIKI ZŁOTORYJSKIE

Jak obchodzono 700-lecie

Do XX wieku złotoryjanie, jak wynika z kronikarskich przekazów, nie obchodzili stuletnich rocznic otrzymania od Henryka Brodatego praw magdeburskich w 1211 r. Nie pamiętano o tym wydarzeniu np. w jego sześćsetlecie Louisowi Sturmowi, prowadzącemu zapiski w drugiej połowie XIX w., wiadomo było jedynie, że w 1811 r. lato było bardzo gorące i suche, lecz obrodziły owoce leśne. Sto lat później sytuacja była zgoła inna. Właśnie dzięki zasługom Sturma oraz innych kronikarzy wiedza o przeszłości miasta była już bardzo duża a działalność mieszkańców wykazywała wiele cech lokalnego patriotyzmu.

O 700-leciu z pewnością myślano już kilka lat wcześniej. Około 1910 r. powstało pierwsze muzeum, które mieściło się na początku w budynku byłej szkoły miejskiej w dzisiejszym Domu Nauczyciela „Bacalarus" przy ul. Szkolnej. W jego organizację zaangażowali się zwłaszcza tutejsi nauczyciele, jeden z nich został pierwszym kustoszem. W maju 1911 r. specjalnie powołany Komitet Obchodów oraz władze miasta wezwały mieszkańców do udziału w jubileuszu, a także zaprosiły najstarszych złotoryjan na specjalne spotkanie w dniu 1 lipca. Wkrótce wzniesiono drewniane makiety trzech bram miejskich.

Właściwe uroczystości miały miejsce od 1 do 9 lipca 1911 r. Ilość przybyłych z tej okazji gości i turystów obliczano na 30 tysięcy; sama miejscowość

liczyła około 7 tysięcy osób. Od pierwszego dnia miasto było już odświętnie udekorowane, w Rynku ustawiono liczne stragany i namioty, wieczorami płonęły pochodnie, organizowano liczne koncerty, zawody strzeleckie, zabawy dla dzieci, spotkania, np. weteranów wojennych i cechów, festyny itp. Szeroko otworzyły podwoje liczne hotele, piwiarnie i restauracje. Pomyślano także o zorganizowanym zwiedzaniu miasta.

Najbogatsza w wydarzenia była niedziela 2 lipca: przed południem, po nabożeństwach w kościele Mariackim(ewangelickim) oraz św. Jadwigi(katolickim) odsłonięto na dzisiejszym pl. Lotników Polskich pomnik cesarza Wilhelma I, co uświetniła m.in. królewska orkiestra grenadierów z Legnicy oraz oficerowie tegoż garnizonu. Pomnik był dziełem berlińskiego artysty Arnolda Künne. Po południu ruszył przez centrum miasta historyczny korowód. Ponad 270 osób w trzynastu grupach w historycznych strojach, poprzedzanych przez fanfarzystów, heroldów i mężczyzn z flagami(grupa

1), starało się odtworzyć ważne wydarzenia: 2. nadanie praw miejskich przez księcia Henryka Brodatego, 3. budowa kaplicy w 1212 przez św. Jadwigę, 4. kopacze złota i ich wymarsz pod Legnicę w 1241 r., 5. Bractwo Strzeleckie św. Fabiana i Sebastiana, 6. plądrowanie miasta przez husytów, 7. pojmanie Czarnego Krzysztofa, 8. Trozendorf i jego uczniowie, 9. siedmiu ostatnich mieszczan ocalałych podczas zarazy w 1553 r., 10. wjazd Wallensteina do miasta w 1626 r., 11. Fryderyk Wielki w mieście w 1762 r., 12. złotoryjscy sukiennicy, 13. wjazd Blüchera w 1813 r. W następnych dniach pilot o nazwisku Wrobel, uczeń Bleriota, wygłosił odczyt, odbył lot pokazowy, a następnie tłumnie zwiedzano jego samolot.

Z okazji rocznicy wydano okolicznościowy album z kolorowymi ilustracjami wspomnianych grup historycznych, folder, liczne widokówki oraz pamiątkowy medal i monety.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

W latach 60-tych Cech Rzemiosł Różnych w Złotoryi (siedziba mieściła się przy Placu Wolności obecnie Rynek, nad Apteką Vita, drugie piętro) organizował co roku, dla fryzjerów z powiatu złotoryjskiego, konkurs połączony z pokazem fryzur.
Zdjęcie przedstawia efekt pracy fryzjerów w jedną ze styczniowych niedziel stycznia 1962 r. Za modelkami stoją mistrzowie nożyczek i grzebienia a także przedstawiciele Cechu.
W ówczesnym czasie w Złotoryi były czynne cztery zakłady fryzjerskie.

Z³otoryjski szczypiorniak ma siê dobrze

Styczniowe niedzielne południe rządzi się swoimi prawami. To czas wypoczynku, błogiego lenistwa większości złotoryjan. Jednak nie wszyscy poddają się urokowi tego dnia. Tuż koło południa w hali sportowej „Tęcza" rozlega się gwizdek sędziego rozpoczynający kolejny mecz ligowy naszych złotoryjskich szczypiornistów.

Tym razem to spotkanie z WKS Śląsk Wrocław i towarzyszące mu emocje nie tylko zawodników, ale, a może przede wszystkim, ich rodziców, dla których rytuałem niedzielnym stało się sportowe widowisko z udziałem ich dzieci. Nastolatków, uczniów gimnazjum i szkół średnich, chłopców, którzy pokochali piłkę ręczną. Zespół tworzą: W. Bałtrukiewicz, I.Borawski, P.Budynkiewicz, J.Chmielewski, M.Fuchs, P.Gregor, J. Kozicki, M. Mikołajczyk, M. Piłat, Ł.Rydlewski, B.Rudyk, W.Ważny, D. Zięba, T. Żak. To oni reprezentują barwy Złotoryi w województwie w tej dyscyplinie sportu.

Trafiony come back?

Uczniowski Klub Sportowy „Piłka Ręczna" został zarejestrowany w styczniu 2001roku. Powołało go do życia dwóch zapaleńców dawnych piłkarzy ręcznych Górnika Złotoryja: bramkarz Robert Guguła i rozgrywający Jarosław Fuchs. Dlaczego? Bo, jak mówią, miłość i sentyment do piłki ręcznej pozostał w nich na zawsze. Nie mogli się także pogodzić z faktem, że tradycje złotoryjskiej piłki ręcznej zostały

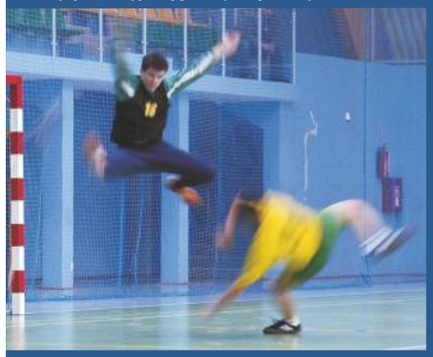

zaprzepaszczone przed kilkunastu laty. A przypomnijmy, że złotoryjski szczypiorniak istniał już w latach 60-tych i mieliśmy, oprócz zespołów męskich, również drużynę kobiecą. Po latach zmagań zespół Górnika Złotoryja znalazł się nawet w II-lidze polskiej.

R.G.- prezes klubu : *Zapał i wielkie marzenia, aby szczypiorniak powrócił na złotoryjskie boiska, były naszym celem. Nie załamało nas nawet to, że na pierwsze organizacyjne zebranie przyszło dwóch zainteresowanych.* Chętnych do uprawianie piłki ręcznej pozyskiwano głównie z Gimnazjum nr 2 szkoły, w której klub ma swoją siedzibę. Pierwszym trenerem klubu został Mirosław Kozubski. Dzięki życzliwości dyrektora ZSzZ Wiesława Woźniaka treningi odbywały się raz w tygodniu w sali gimnastycznej tej szkoły. Kolejnym etapem było zgłoszenie drużyny juniorów starszych do rozgrywek ligi dolnośląskiej w sezonie 2002-2003.W tym czasie zespół

trenował na sali złotoryjskiego ogólniaka. Nad rozwojem zawodników i drużyny pracowali również: Grzegorz Fiszer, następnie Andrzej Jeżak, a obecnie zespół prowadzi pan Edward Golanowski; drugim trenerem jest złotoryjanin, jednocześnie czynny zawodnik ekstraklasy polskiej KPR „Miedź-96 Legnica" Maciej Sroka .Z chwilą oddania do użytku hali sportowej „Tęcza" bazą treningową oraz miejscem rozgrywek ligowych stała się właśnie ta placówka. Złotoryjska drużyna piłki ręcznej się rozwija, rośnie również apetyt na sukces. Sukces, którego smak poznali zawodnicy w sezonie ligowym 2005/2006, kiedy to zajęli 5. miejsce w tabeli, wygrywając z takimi zespołami jak: MKS Dzierżoniów, BEL-POL Świdnica, Śląsk Wrocław czy Zagłębie Lubin. I tak odrodziła się piłka ręczna w Złotoryi.

Kim jest złotoryjski szczypiornista?

Przede wszystkim radosnym nastolatkiem i uczniem, który oprócz treningów ma wiele obowiązków, a także innych zajęć. Zawodnicy muszą więc wykazywać się bardzo odpowiedzialną postawą i umiejętnie godzić wszystko. Bo przecież i nauka, i sport wymagają zaangażowania i systematyczności. Nie ma tu mowy o konkurencji! Wszystko musi iść w parze. Chłopcy z drużyny to uczniowie Gimnazjum nr 2, ale również szkół średnich Złotoryi, Legnicy oraz Lwówka Śląskiego.

Kto wspiera, ogląda, pomaga?

Piłka ręczna ma swoich fanów nie tylko wśród młodzieży. Wystarczy popatrzeć na kibiców. Są nimi koleżanki i koledzy zawodników, oczywiście ich rodzice, sponsorzy, ale również ci, którzy sercem są na boisku piłkarze ręczni oldboje. Dla nich każdy mecz to powrót do przeszłości, to przywoływanie obrazów, przeżyć sprzed lat, kiedy sami byli bohaterami spotkań na parkiecie. Dzisiaj zaś przyprowadzają swoich synów na treningi, zaszczepiają im bakcyla dyscypliny sportu, wspierają finansowo klub i żyją jego działalnością.

Czym skorupka za młodu…

Zarząd klubu stawia na młodość i właśnie na niej opiera swoją działalność.

Budując drużynę, cały wysiłek skierowano na szkolenie starszej młodzieży, z myślą o rozgrywkach ligowych. Jednocześnie planowano i dążono do stworzenia podwalin pod szkolenie kompleksowe(nabór przyszłych zawodników z klas 4-6 szkół podstawowych, a następnie rozwój w poszczególnych grupach wiekowych od młodzików do seniorów).

Jarek Fuchs - wiceprezes klubu: *Zaczynając od naboru i początkowo zabawowego potraktowania tematu piłki ręcznej, chcemy zaszczepić bakcyla tej dyscypliny wśród maluchów szkół podstawowych Celem naszym jest budowanie klubu tak przyjaznego dzieciom i młodzieży, aby przyjście na trening było ich pasją, a równocześnie przyjemnością i zabawą. Nie wyobrażamy sobie przyszłości naszej sekcji bez stworzenia systemu szerokiego naboru* dzieci, *również z terenu całego powiatu złotoryjskiego*.

W chwili obecnej 30 chłopców klas 4 i 5-tych SP3 trenuje pod okiem Macieja Sroki i przygotowuje się do rozgrywek ligowych w kategorii wiekowej dzieci. Mali zawodnicy pierwsze zmagania mają już za sobą. Debiutancki mecz rozegrali w połowie grudnia minionego roku, a spotkanie to przejdzie do historii, bowiem na boisku grało 22 maluchów jednocześnie. Tego jeszcze nie było! Co na to Zarząd? Widząc zaangażowanie oraz wolę walki na treningach i meczach swoich małych podopiecznych, planuje wystawienie do rozgrywek ligowych nawet dwóch drużyn w tej kategorii wiekowej.

Plany na przyszłość

Ważnym aspektem klubowej działalności jest zabieganie o stworzenie możliwości rywalizacji międzyszkolnej w formie turniejowej, co spowoduje naturalną chęć współzawodnictwa między klasami, szkołami oraz miejscowościami naszego terenu.

Robert Guguła: *Jedną z metod szkolenia młodych ludzi jest organizacja regularnych wyjazdów na mecze ekstraklasy oraz pierwszej ligi. Nasz region wszak to prawdziwa kuźnia piłkarzy i piłkarek ręcznych. Takie kluby jak Zagłębie Lubin, Śląsk Wrocław, Chrobry Głogów, Miedź Legnica, Jelfa Jelenia Góra to uznane firmy nie tylko w kraju, ale i za granicą. My się od nich uczymy, a oni nam w tym pomagają, miedzy innymi poprzez mecze sparingowe oraz ligowe.* Plany przewidują również rozwinięcie działalności w szkołach, opartej o lekcje wychowania fizycznego, jak i zajęcia pozalekcyjne, na których będą wprowadzane podstawy piłki ręcznej . Machina już ruszyła. Dzięki

zaangażowaniu trenera Macieja Sroki, nauczyciela wych. fizycznego Gimnazjum nr 2, w 2006r. po raz pierwszy od wielu lat szkolna drużyna piłki ręcznej wywalczyła awans do finałów strefy legnickiej, gdzie zajęła IV miejsce. Marzeniem i zamierzeniem klubu na przyszłość jest utworzenie zespołu seniorskiego, opartego oczywiście o wychowanków klubu. Wiąże się to jednak z odpowiednimi nakładami finansowymi i budową zaplecza kadrowego w postaci drużyn młodzieżowych i dziecięcych. Jedną z przeszkód wejścia na wyższy poziom rozgrywek jest zakaz gry z klejem do piłki ręcznej na naszej hali, uniemożliwia to nawet zorganizowanie turniejów. Ale cóż, nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

Tymczasem złotoryjski szczypiorniak ma się dobrze i zaprasza na kolejne widowiska sportowe.

Renata Fuchs
Zdjęcia: Ryszard Masłowski